№ 16. Warszawa, dnia 9 (21) Kwietnia 1883 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kopiejek 80, miesięcznie kopiejek 60. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.—Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

RAFAEL SANZIO.

W początkach bieżącego miesiąca obchodził cały świat cywilizowany czterechsetletnią rocznicę urodzin Rafaela Sanzio, największego mistrza pędzla. Hołd to zasłużony, świadczący, że społeczeństwa Europy umieją cenić prawdziwe geniusze, które zjawiają się rzadko, lecz przyświecają zarówno współczesnym, jak i przyszłym pokoleniom. Prawdziwy geniusz jest wiecznym, a do takich należy Rafael.

U nas cześć dla malarstwa wzrasta z dniem każdym. W poprzednich epokach naszego cywilizacyjnego rozwoju było malarstwo rzeczą prawie obcą, własnych mistrzów nie mieliśmy, nie mogliśmy więc i ich sztuki tak wysoko cenić, jak na to zasługuje. Wszakże z rozwojem polskiego malarstwa, datującym się od niedawna, i poczucie jego znaczenia i watości wzrasta. Umiemy już dziś cenić nietylko swoje, lecz i obcych zdobycze na tem polu.

Dlatego to myśl rzucona przez kilku wielbicieli sztuk pięknych, myśl uczczenia rocznicy Rafaela, znalazła szczery poklask. Wybrano na ten cel formę bardzo dobrą. Oto dwóch profesorów pp. H. Struve i W. Gerson wygłosili odczyty, na które zebrała się dość liczna publiczność. Salę ozdobiono kopiami arcydzieł Rafaela, z których można było przynajmniej kompozycyą ocenić i zrozumieć. Dochód z odczytów będzie przyczynkiem do funduszów na wzniesienie nowego gmachu towarzystwa sztuk pięknych.

Streszczając w zarysie oba wykłady, uzupełniając je poniekąd, a raczej zaokrąglając, podajemy czytelnikom niniejszy szkic. Przypominając krótki żywot, a wiecznotrwałe dzieła i my oddajemy cześć geniuszowi Rafaela.

W miasteczku Urbino mieszkał Giovano Santi, dobry portrecista, cieszący się wielkiemi względami księcia Urbino. Książę był znawcą i miłośnikiem sztuk pięknych, a z rezydencyi swej chciał stworzyć drugie Ateny. Gromadził więc dzieła sztuki, przyozdabiał swój pałac i starał się o pozyskanie najpierwszych sił artystycznych. Malarzy, rzeźbiarzy i architektów pełno było w Urbino, a każdy z nich starał się utworzyć dzieło o ile można jak najlepsze.

W tej rzeszy artystycznej Giovani Santi nie był pierwszym, lecz i nie ostatnim, poprawność rysunku zalecała podobno jego dzieła. Giovani był ojcem Rafaela, którego później nazwano Sanzio. Rafael urodził się 28 marca 1483 roku, a więc na schyłku XV-go wieku, który w pochodzie cywilizacyjnym zaznaczył się znakomitem odrodzeniem sztuki.

Z dzieciństwa Rafaela nie wiele znamy szczegółów, to tylko pewna, że kierowany w zaraniu życia przez matkę pełną świętobliwości i pobożności kobietę, odziedziczył po niej te przymioty. Wrosły one w duszę artysty silnie i były później wyłączną cechą jego talentu.

Pierwszymi nauczycielami Rafaela byli: ojciec jego i artyści zgromadzeni w Urbino. Pałac księcia był szkołą młodego artysty. Tam widział nagromadzone dzieła sztuki, tam także mógł się przypatrzeć jak się dzieła tworzą. Bardzo wszakże młody był jeszcze Rafael, aby się w nim wpływ początkowej nauki mógł silniej uwidocznić. W jego artystycznej działalności nie pozostały ślady tej pierwszej szkoły.

W piętnastym roku życia udaje się Rafael do Perugii, miasta położonego w Umbryi, a słynącego z oddzielnego kierunku sztuki. Umbrya była naówczas siedliskiem mistycyzmu i ten nadawał właśnie szkole umbryjskiej ów odrębny charakter.

Nauczycielem Rafaela został znakomity Pietro Perugino. Jego wpływ na artystyczny rozwój talentu Rafaela bardzo był widoczny, jakkolwiek młody artysta umiał się ustrzedz od naśladownictwa, któreby przeszło w manierę. Duszą malarstwa Perugina był mistycyzm. Przedstawienie boskości Madon i świętych umbryjskiej szkoły polegało na wielkim spokoju rysunku postaci, graniczącym niemal z sztywnością, podczas gdy oblicza pełne były słodyczy i nadziemskiego uroku. Dla wybitniejszej charakterystyki, malowano oczy albo wzniesione w niebo i pełne ekstazy, albo też skromnie spuszczone ku ziemi, lub wreszcie zatopione w świętą jaką księgę.

W malarstwie tem był jeszcze widoczny wpływ niedawno porzuconej szkoły bizantyńskiej, której głównem znaczeniem była sztywność, zupełna nieruchomość postaci malowanych na tle złotem.

Nauczywszy się w szkole Umbryjskiej niemało, zdobywszy wielki spokój w traktowaniu przedmiotu, wyrobiwszy nader cenną poprawność rysunku, udaje się Rafael po sześciu latach do Florencyi, w której podówczas życie artystyczne silnem biło tętnem. Przewodnikiem jego był tu Fra Bartolomeo, a mistrzami na których się kształcił: Leonardo da Vinci i Michał Anioł.

Wpływ pierwszego z nich podziałał na Rafaela bardzo dobrze, bo oderwał go od mistycyzmu szkoły Umbryjskiej, nauczył studyować naturę, zapożyczać wzorów z żyjących.

W dziejach Rafaela z tej epoki spotykamy niejednokrotnie typy obywateli florenckich, rysowane z natury. Kompozycya zaczyna się ożywiać i rozwijać, staje się bogatszą. Linie wybiegają po za granice oznaczone formalistyką szkoły umbryjskiej, postacie nabierają swobody, ruchu, idee wypowiada artysta już nie samem obliczem tylko, lecz kompozycyą, układem.

Sława Rafaela musiała być wielką, kiedy w ro-

ku 1508 zostaje powołanym do Rzymu dla upiększenia kościoła św. Piotra i Pawła. Tu geniusz Rafaela dosięga zenitu. Wzory Michała Anioła, który pracował podówczas w kaplicy sykstyńskiej, były impulsem do ostatniego zwrotu w rozwoju artystycznej twórczości Rafaela. Jego dzieła nabierają olbrzymiej siły kompozycyi. Życie w nich tętni potężne, idee jaśnieją wyraźne, a przyświecają jak słońce ludzkości przez cztery wieki.

Twórczość wzmaga się kolosalnie. Coraz to nowe pomysły, a wszystkie skończone pod względem technicznym znakomicie. Ręka młodego artysty nie może już podołać twórczości, rzuca więc pomysły na kartony, pozostawiając wykonanie uczniom. Tak powstała połowa znakomitych fresków w stancyach, czyli komnatach papieskich. Do najznakomitszych dzieł Rafaela w owych stancyh wykonanych należą: „Spotkanie Atyli z papieżem Leonem", „Szkoła ateńska", „Olimp", „Bitwa Konstantyna Wielkiego" i „Przemienienie na górze Tabor". Kompozycya tych dzieł jest potężna, a strona techniczna stawia Rafaela na czele mistrzów.

Aby mieć pojęcie o pracy Rafaela dodajmy tu jeszcze olbrzymie loże watykańskie, pokryte freskami, liczne malowidła w pałacu Farnese i wiele Madon, które dziś są perłami najznakomitszych galeryi i muzeów sztuki. Za najpiękniejszą uważaną jest „Madona Sykstyńska", znajdująca się obecnie w galeryi drezdeńskiej. O olbrzymiej pomysłowości świadczą także przepyszne gobeliny, wykonane podług kartonów Rafaela. Przedstawiają one cały szereg scen biblijnych.

Z potęgą kompozycyi, łączyła się olbrzymia siła plastyki, a wymownym tego wyrazem jest napis na grobowcu Rafaela w Panteonie:

„Tu leży Rafael, za którego życia przyroda lękała się, by jej pędzlem swoim nie prześcignął, a przy którego śmierci przeraziła się na tę myśl, iż jej nikt odtworzyć nie zdoła."

Podziwiać trzeba olbrzymią wytrwałość Rafaela w takiej pracy, bo nie zapominajmy, że mianowany przez papieża Juliana II konserwatorem zabytków sztuki klasycznej w Rzymie i okolicy, pracował wiele, iż nie wiemy kiedy mu na to czasu starczyło. Sam wszystko oglądał, czytał opisy dawnej Romy, kierował odkopywaniem, przerysowywał zabytki sztuki, gromadził je, a przy tem wszystkiem nie zaniedbywał pracy w Watykanie.

A jednak był to człowiek wątły, obdarzony przez naturę pięknem duszy i ciała, tylko siły żelaznej mu brakło. Skończywszy lat 37 życia pełnego wielkich dzieł i gorących pragnień umarł.

Duch jego pozostał wiecznym w dziełach, które budzą podziw całego świata — to jego nieśmiertelność. Serce pozostało we wspomnieniu gorącej miłości dla pięknej Fornariny, owej ubóstwianej, którą tak często spotykamy na obrazach Rafaela.

I oto w chwili, kiedy świat cywilizowany oddaje hołd geniuszowi Rafaela — lud Rzymski wieńczy mirtem domek Fornariny. Jednym przyświeca duch nieśmiertelny — drugim wielka miłość wiecznie piękną pieśnią serce kołysze.

Szczęśliwy, kto u wielkich zarówno jak u maleńkich jest nieśmiertelnym...

Z.

Z PIEŚNI MŁODOŚCI.

ZIMA.

Zima nasza, zima mroźna,
To starucha bardzo groźna,
Gdy zagdera w swojej złości,
To przejmuje aż do kości,
Ciska w około srogie ciosy,
Ziębi nogi, mrozi nosy

Ale gdy się udobrucha,
Zaraz sobie w palce chucha,
Wtedy stary gniew ustaje,
Mróz odpada, a śnieg taje,
I my z zimą, chociaż w chłodzie,
Żyjem sobie w dobrej zgodzie.

Chłop korzysta z tego czasu,
Jedzie rąbać drwa do lasu,
Stuku! puku! zaraz brzózek
Naładuje pełny wózek,
I opala niemi chatę,
Lub przedaje za opłatę

Pan i szlachcic zaściankowy,
Pośpieszają wraz na łowy;
Trąbią trąbki, rogi grają,
Pieski gonią, ujadają,
Biada, biada w takiej porze,
Kotom w polu, lisom w norze!

Młodź ochocza do hulanki
Pieści konie, stroi sanki,
Potem hajże na wyścigi
Idą w dobry czas kuligi,
Jedne sanki drugie gonią,
Huczy piosnka, dzwonki dzwonią.

A w gospodzie ogień błyska,
Tam ochota wśród igrzyska,
Grają dudy i skrzypice,
Tańczą chłopcy i dziewice,
Huha! młodzież wykrzykiwa —
Jeszcze miodu! jeszcze piwa!

Antoni Kruman.

BŁĘDNE DROGI.

Rzecz opowiedziana
przez
J. K. GREGOROWICZA.

(Dalszy ciąg.)

Ponieważ Bardzki lubił wszystko wiedzieć, aby w każdym razie umieć się wszystkiem posłużyć, często też zachodził do Wosia i to przed zamknięciem księgarni, aby strawić chwilkę czasu na przejrzeniu nowych wydawnictw. Na drugi też dzień jak tylko przyszedł do Wosia zajętego kończeniem dniowego rachunku, zasiadł przy stole i zabrał się do książek.

— Straszne pustki, jak widzę, na twoim księgarskim warsztacie — rzekł po chwili. Nic nowego, wszystko stare rzeczy, a jak popłaca tylko świeże mięso w jatkach rzeźniczych, tak i w jatkach księgarskich tylko coraz świeższy towar nadać im może ruch i życie. Gdy jestem u ciebie zawsze mi się zdaje, że siedzę między umarłemi.

— Nic na tem nie tracisz — odrzekł Wosio — że choć wtedy myślisz o końcu wszystkiego.

— O końcu o końcu! — mruknął Bardzki, nielubiący wzmianek choćby najmniejszych o śmierci. — Końcem zaprzątać się nie potrzeba, sam przyjdzie bez starania, tylko temi miesiącami i latami co go poprzedzają. Ale dajmy tym głupstwom pokój! Gdy jestem z tobą filozofie, zawsze mnie napada chętka filozofowania, a nie znam nic głupszego jak filozofią...

— I pustą kieszeń domówił Wosio.

— A ma się rozumieć — potwierdził Bardzki— a filozofia właśnie uczy co robić żeby być wiecznym charłakiem.

— A któż nim nie jest? — zapytał Wosio.

— Oprócz ciebie mój Wosiu i...

— I ciebie mój Klimciu — domówił Wosio.

— Prawda, że jestem charłakiem, ale mi się kroją dwa interesiki, a nawet trzy, z których każdy do fortuny wiedzie. Niech więc jeden mi się uda a kapelusz na bakier, jaśnie państwo jak zapisał. Ciebie Wosiu biorę za jeneralnego kasyera i buhaltera, służbę galonuje, obwieszam ją herbami...

— Cicho! nie przeszkadzaj! — zawołał niecierpliwie Wosio. — Podobnemi bajdami z tysiąca i jednej nocy baw dzieci, głupców i siebie, boś *ślepcem* i takim już pozostaniesz.

Wtem wbiegła do księgarni jakaś młoda jeszcze kobieta lat najwyżej trzydziestu, zgrabna, szykowna, ubrana z pewną starannością, z urodą zwiędniętą przed czasem jakąś wielką boleścią.

Usiadłszy przed lustrem na ścianie zawieszonem, zdjęła elegancki kapelusik osłaniający jej głowę i poprawiając włosy w nieładzie rozrzucone, wołała z pewną natarczywością:

— Gdzie jest p. X? Proszę mi tu zaraz wezwać p. X, a to dopiero rzecz nie do darowania! Gdzie p. X. zaraz mi tu go przyprowadźcie!

Bardzki ze zdziwieniem spojrzał na przybyłą, Wosio odstąpił od biurka i nieznacznie dał do zrozumienia przyjacielowi, że to osoba z rozumem nieco pomieszanym. Pan X był właścicielem księgarni, nie było go w niej.

— Mogę go jednak zastąpić — rzekł Wosio z największą grzecznością — i jeżeli pani uzna to za właściwe to jestem na jej rozkazy.

— Nie ma go? Szkoda wielka! — zawołała przybyła. — Ale to nic nie szkodzi, wiem żeś uczciwy człowiek, znam cię dobrze choć mnie może nie znasz.

— Owszem znam dobrze pannę Hetmanownę...

— Tak, tak, jestem Hetmanowną — zawołała kobieta — bo wszystkie miecze, które nosili nasi bohaterowie, czuję jak mi przeszyły serce a zamrzeć mu nie dają.

— Ho! ho! — odezwał się Bardzki rad że kogoś może wziąć na zęby i kosztem się jego zabawić. — To serce musi pani posiadać dziwnej własności.

Kobieta z pogardą odwróciła się od niego.

— Kruk, podły kruk! — szepnęła przechodząc się po księgarni z postawą pani umiejącej rozkazywać. — Nędzny ptak zna tylko ścierwo, którem się żywi.

Bardzki rozśmiał się a kobieta zatrzymawszy się na środku księgarni i dotykając palcem czoła, rzekła.

— O czem to chciałam mówić? Tak teraz bywam roztargniona... a! wiem już.

Szybkim krokiem zbliżyła się do stołu założonego książkami, przerzuciwszy pomiędzy niemi, wydobyła kilka zeszytów z portretami znakomitych mężów i otwierając je zapytała:

— Wszak to pan X wydał?

— Tak, pani — odrzekł Wosio.

— I jaka ich cena?

— W większym formacie, cały komplet przedajemy po sto złotych, a w mniejszym po złotych czterdzieści.

— Po sto złotych i po czterdzieści! — zawołała z pognębieniem kobieta załamując ręce.—Mój Boże! całą naszą przeszłość zamknięto w tym martwym papierze, naszych ukochanych bohaterów, mężów ukoronowanych, jak ochłapy w jatkach sprzedawać na złotówki! A to rzecz nie do darowania, zbrodnia, krzycząca niesprawiedliwość! Bardzo proszę — mówiła dalej bijąc ręką o stół energicznie — żeby w większym formacie illustracya ta przedawaną była po trzydzieści dukatów a w mniejszym po piętnaście. Proszę to powiedzieć panu X bo jeżeli tego nie zrobi zaskarżę go przed sądem opinii publicznej i ogłoszę za wyrodka, za człowieka wszelkiej czci pozbawionego.

— Powiem łaskawa pani — odrzekł Wosio — i nie wątpię, że p. X spełni jej życzenie.

— Jeszczeby też! — zawołała kobieta znów chodząc niespokojnie po księgarni. — Niechnoby ośmielił się postąpić inaczej! Złotówki ciurom obozowym przystoją a dukaty mężom co im przewodzili.

— To zapewne pani da pierwsza przykład kupna dzieł tych w podwyższonej cenie—odezwał się Bardzki ze źle ukrytem szyderstwem.

Kobieta nic nie odrzekła, twarz jej pokryła się chmurą wzgardy, przeszła się, zatrzymała przed wielkim obrazem Chrystusa na krzyżu i patrząc na obraz z wielkiem poszanowaniem, szepnęła smętnym głosem:

— Jezus Chrystus!

— Pan Jezus Chrystus — poprawił Brodzki.

— Jezus Chrystus! — powtórzyła kobieta jakby nie dosłyszała zrobionej uwagi.

— Pan Jezus Chrystus — poprawił znowu Bardzki.

Kobieta szybko zwróciła się do niego i wyciągając rękę rzekła z mocą:

— Nie! Jezus Chrystus! kiedy się mówi do takich jak acpan chłystków to się dodaje pan, ale gdy powiem Chrystus! to każdy pozna o kim mową. Rozumiesz acpan?

I wyrzekłszy to, zasłoniła twarz ręką, uśmiechnęła się radośnie, że tak odpłaciła się natrętowi za jego żarciki i pożegnawszy skinieniem głowy Wosia, wyszła szybko na ulicę.

— A to cięta sztuka! — zawołał Bardzki — i ktoby to powiedział, że to waryatka. Pewno udaje z jakiegoś wyrachowania...

Wosio podniósł ramion.

— O ile wiem — odrzekł — była ona guwernantką i to osobą bardzo wykształconą. Podobno zakochał się w niej jakiś młody magnat i gwałtem się chciał z nią żenić. Rodzina sprzeciwiała się, podstępem wywieziono go z kraju i intrygą, potwarzą, plotkami, różnemi listami bezimiennemi, tak potrafiono wszystko pomotać, że w końcu ona straciła rozum a on ochotę do małżeństwa. Biedactwo jest teraz na opiece siostry swej utrzymującej magazyn mód, pewna, że jest potomkiem wielkiej hetmańskiej rodziny a jej ukochany w niewoli tatarskiej.

Po zamknięciu księgarni, Klemens z Wosiem przeszli się po ogrodzie Krasińskich a gdy mrok zaczął zapadać, zaszli do kawiarni w której Justysia królowała. Zastali tam już pełno codziennych gości, znających się między sobą, jedni grali w bilard, drudzy w szachy, arcaby i domino, inni byli tylko widzami, a wszyscy rozmawiali z sobą żartując wzajemnie. Dla gości zaś szczególnie uprzywilejowanych, za bufetem był mały alkierzyk, do którego zaraz udali się Bardzki z Wosiem. Za nimi niebawem przybiegła Justysia.

— Dobrze, że pan Wosio przyszedł — rzekła siadając przy nim poufale, bo pan Klimcio tak się wczoraj zaawanturzył, że mi się formalnie oświadczył i chce się ze mną ożenić.

Bardzki roześmiał się, Wosio spojrzał na oboje robiąc wielkie oczy.

— Może pan Wosio nie wierzy temu — mówiła dalej Justysia — i nie dziwię się temu, bo i ja nie wierzę i dlatego radabym bardzo, aby pan wybadał pana Klimcia i dowiedział jakie w tem kryje się... szelmostwo.

— No, no, ty moja szelmotko figlarna — odezwał się Bardzki — szczebiotanie zostaw na później a nam przynieś herbaty z pół kieliniem.

— Dobrze, dobrze, zaraz się uwinę, ale mój panie Wosiu spełń moją prośbę — odrzekła Justysia i pogładziwszy go pieszczotliwie po twarzy wybiegła z alkierzyka.

— Czysta judaszka — odezwał się Bardzki, ściskając usta — a ponętna, figlarna i wcale nie głupia. Ma spryt i wie jaki skarb w buziaku swoim posiada, dlatego podoba mi się bardzo. Z buziaka choćby najładniejszego z czasem zrobi się worek pustką sfałdowany, albo bułą chleba źle wypieczonego, a spryt starości nie ulegnie i przez czas jeszcze dzielniejszym się stanie, rozumniejszym bo pełnym doświadczenia.

— Więc na prawdę ożeniłbyś się z nią? — zapytał Wosio.

— Nie wiem jeszcze, musiałbym się obrachować, namyślić, wszystko przewidzieć i...

— I zrobić głupstwo kapitalne — domówił Wosio.

— O, o, o! znów przesadzasz mój filozofie kochany. Ładna żonka to kapitał, kto nim umie rozporządzać. Wiesz przecie, że ja wszystko obliczam na wartość brzęczącego grosza.

— Więc i Justysię także?

— A naturalnie, bo tylko rozważ. Większa połowa gości przychodzi tu dla niej, nawet ja i ty chociaż się zwiesz filozofem. Dawniej dobrze nam było na Trębackiej ulicy, ale teraz lepiej tutaj, a dlaczego? Bo na Trębackiej posługiwała nam stara Nastka z nosem jak pasternak a tu Justysia z buzią jak kwiatek. Pchają się też tutaj coraz nowsi goście i więzną, bo ich Justka umie nietylko przywabić, ale i przytrzymać, jednym uśmieszkiem, jednem spojrzeniem, jedną minką smutną albo żałosną, z której wszystkiego można się domyślać, ale bez zobowiązania wyraźnego, w czem dziewczyna bardzo jest uzdolnioną. Wszyscy więc mają nadzieję, przychodzą, wciągają się, przyzwyczajają, kawiarnia codzień staje się ludniejszą a kasa pełniejszą i bardziej wypchaną. Czyż więc mając taką żonkę nie możnaby zrobić dobrej spekulacyi założywszy dla niej kawiarnię? Jabym pilnował swego interesu, ona swego...

— A ktoby — zapytał nagle Wosio — pilnował interesantów pani Justyny?

— No, ona sama.

— To mnie zaraz pierwszego na liście ich pomieść.

— Hm! hm! — mruknął Bardzki usta zaciskając — a jakbym cię przez kij przesadził?

— Cóż ja jeden znaczyć mogę? A zresztą gdzie się gniewają tam nie bywają, a gdzie biją tam nie piją.

— Prawda, prawda — potwierdził Bardzki. — Być zazdrosnym głupia to sprawa i zupełnie nieprocentowa. Niech więc tylko bywają i piją a zazdrość wpakuję do archiwum i obwaruję potrójną pieczęcią, albo oddam ją na makulaturę.

W tej chwili Justysia przyniosła herbatę.

— I cóż panie Wosiu? — zapytała. — Czy pan Klimcio wyspowiadał się ze swego... ze swego... jakże to nazwać? Niech będzie... szelmostwa.

— Wyspowiadał się — odrzekł Wosio — tylko brak mu ostatecznej decyzyi.

— A to dobrze, to bardzo dobrze! — zawołała Justysia — bo i mnie więcej czasu pozostanie do namysłu. Muszę się panu Klimciowi lepiej przypatrzeć, nie zachwyca co prawda urodą, ale to lepiej bo nie będzie mi się bałamucił. Bałamutek zaś takich nie lubię nie przez zazdrość ale, że zbyt kosztowne...

— A co? Nie sprytna dziewczyna? — zawołał Bardzki.

— Ba! nic dziwnego. Patrzcie panowie — odezwała się Justysia — oto pełna kieszeń karmelków i cukierków, a wiecie od kogo? Od żonatego, któremu nawet za rękę wziąć się nie pozwoliłam. Za tak słodki podarunek objął mnie w pół ale na króciutko, bo co mi słodycze znaczą.

— To nie jedwabna materya ani brylanty!—zawołał Bardzki zacierając ręce.

— Naturalnie, jeżeli zatem pan Klimcio pragnie abym go pokochała i żoną jego zostać chciała, to musi mnie całą zarzucić podarunkami, sukniami, mantylami, koliami, broszami, pierścieniami...

— To, to, to! Tere fere kuku, strzela baba z łuku! — zawołał Bardzki. — Takie zbytki robią się dla kochanek a dla przyszłych żon, to się kupuje tuzin garnków, pół tuzina rądli, balię do prania, kocioł, miotłę i ścierkę.

— A wiesz pan co — odezwała się Justysia z pewnym rozmysłem — że to wcale niegłupie co powiedziałeś. Namyślę się lepiej bo czuję, że choć panu z oczów coś jakby dyabeł wygląda, ale zdaje mi się, że mogłabym zostać jego żoną. A teraz uniżona sługa łaskawych panów.

Justysia trzymając się za sukienkę zrobiła zgrabnego dyga, zręcznie się wykręciła, mignęła ponętnie nóżkami i śmiejąc się wybiegła z alkierzyka.

Bardzki nie mógł się dosyć nachwalić powabnego dziewczęcia. Widział w niej wszystkie warunki dorobienia się kolosalnej fortuny i wreszcie oświadczył, że jeżeli dostanie miejsce, o które się stara przy jednym bardzo bogatym magnacie, to pod firmą Justysi założy kawiarnię, puści ją w ruch i jak się przekona, że ma widoki powodzenia, zaraz się z nią ożeni.

— Otóż to dwa interesa, ale kroi mi się jeszcze trzeci — mówił dalej mając na myśli panie Sabinę i Kraworską — nie jestem tylko pewny, czy jest tem czem się być zdaje. Pokrywa go jakaś mgła tajemna, przewiduję w nim coś bardzo sekretnego, wącham, wietrzę, jestem na tropie, ale jeszcze bujam w samych przypuszczeniach. Może to plewy, a może i mąka z której sobie jaki bocheneczek upiekę. Dziś nic nie wiem, ale go nie wypuszczę z ręki dopóki prawdy się nie dobadam. Widzisz mój Wosiu, są tu dwie baby, z których jedna się kryje a druga jej szuka, zupełnie jak w ciuciubabce. Jest także młoda panna, ładna ale Justysia ładniejsza i młody akademik niebar-

dzo ładny, ale za to bardzo uczony. Młodzi kochają się, nawet szaleją, a baby... otóż właściwie nie wiem co o tem myślą i to stanowi łamigłówkę. Jedna baba z panami żyje, a druga z charłakami, jedna lgnie do świata, druga go unika a obie zdają się opiekować młodemi gołąbkami jak kucharz bażantem na rożnie, aby był smaczny, kruchy i pokaźnie na półmisku wyglądał. Gdzie tu więc jądro rzeczy?

W kilku dni później w dzień świąteczny po południu, Bardzki z Wosiem po czarnej kawie, wyszli ze znajomej nam kawiarni od Justysi. Bardzki był w wesołem bardzo usposobieniu, zrobił jakiś interes dość korzystny, miał kapelusz junaczo przekręcony na głowie i ręce w obu kieszeniach. Wyglądał nadzwyczaj hardo, Woś jak zwykle szedł tuż przy nim z miną niedbalca troszkę smutną, bo po kawie miał ochotę przetrącić kieliszkiem sznapsa a brakło go w kawiarni. Słodkich likierów nie lubił, wstąpić byle gdzie nie śmiał, bo Bardzki odkrywszy w nim chętkę do trunku, trzymał na wodzy, zawsze powiadając, że podochocić w przyzwoitem towarzystwie i przyzwoitym napitkiem, to rzecz dobra i pożyteczna, ale upić się byle czem to niebezpiecznie. Człowiek, powiadał zostaje bydlęciem, a bydle między ludźmi przepadnie, obedrą z niego skórę i byle szewczyk palnie w łeb obuchem.

Idąc, Bardzki głośno rozprawiał, oglądał się, przystawał, szydził, wyśmiewał na co tylko rzucił spojrzenie, a przechodnie patrząc na jego buńdziuczność ustępowali z drogi, mijali zdala nie chcąc wchodzić w zatarg z zawadyaką.

— Śmiać mi się chce—odezwał się do Wosia— patrząc na tę gawiedź, jak z pokorą mija mnie, przeczuwając, że niejednego z nich mógłbym kupić z bebechami. Głupcy! Prawią o Bogu, stawiają Mu wspaniałe świątynie, w imieniu Jego wiążą i rozwiązują, godzą i nauczają, a w miejsce Jowisza postawili dukat z napisem: drżyj drugiego jak siebie samego, byleś skórą złotą porastał. Gadajcie zdrowi, wiem czego się trzymać. Z garści dukatów zrobię całą szkatułę, a z tej beczkę i siądę na niej jak Bachus, trzon otworzę i pełnym pucharem pić będę nektarek zwany w świecie rozkoszą życia. Cóż ty Wosiu na to?

— Jabym przestał i na jednym dukacie ale codzień — odrzekł Wosio.

— Głupi jesteś Wosiu i powiedz: tak jest. Tyś filozof to się bratasz z jakiemiś dalekiemi światami do których ludzkie oko nie dochodzi, ja zaś prosty ziemi mieszkaniec i powiadam: tamto coś, to nic, a to co mam pod swemi nogami to wszystko, tamto głupstwo a to mądrość.

— Przeciwnie ślepcze, tamto mądrość a to głupstwo co ty mądrością nazywasz.

— Mniejsza o to, ale przyznasz, że w tem głupstwie bez dukata nic nie pocznieszz. Gdy przyjdzie jutro za cóż kupisz sobie obiad gdy pustka w kieszeni.

— To niech jutro się tem kłopocze — odparł Wosio z gniewem — zaprzątać się tem dzisiaj co i tak jest kłopotliwe, to czysta waryacya.

— Ej! Wosiu bredzisz i sam sobie kłam zadajesz, bo trzymasz się posady, która ci przyszłość zapewnia.

— To też to męka dla mnie do niezniesienia, której radbym się pozbyć.

— Czegóż więc pragniesz, kochany mój filozofie?

— Małej rzeczy, codzień pięciozłotówki, którąbym wydał na dzienne potrzeby...

— I urznął się, jak kloc ległszy gdzie pod schodami — domówił Bardzki.

— Spać na jedno wychodzi, czy na puchowem posłaniu w bogatej komnacie, czy na desce pod schodami, byle spać.

— Jest jednak pewna różnica.

— Żadnej! stanowczo — odparł Wosio. — Sen jednem darzy dobrodziejstwem, czy bogacza czy biedaka i ani jeden ani drugi nie wie czy usnąwszy, jutro się żywym obudzi.

— No, to prawda, ale pleciesz jak waryat szałki opałki. Widać, że musisz często spotykać się z ową guwernantką waryatką, którą poznałem w twojej księgarni, bo ci się od pewnego czasu, jak uważam, wszystko w głowie przekręciło. Jesteś uosobieniem głupstwa ludzkiego, co w nocy szuka słońca a co krok utyka, łbem wali o słup latarniowy i nosem orze ziemię. Jam rozum ludzki i jako taki zafunduję ci szklankę pączu, żeby wypłukać męty mową twoją sprawione.

— Pączyk to rzecz dobra — zawołał Wosio zacierając ręce.

— A widzisz, trafiłem ci w sedno.

— Ale sznapsik przed pączem to rzecz arcy zdrowa. Zatrzymaj się chwilkę, wstąpię na róg, bo jakoś... jakoś mi ckliwo.

— Przy święcie możesz sobie pozwolić — odrzekł Bardzki protekcyonalnie — nie mam nic przeciw temu, tylko sobie zastrzegam jeden kieliszeczek, nic więcej, tylko jeden.

Sznapsik ożywił Wosia a później pączyk przyprowadził w nim wszystko do równowagi. Śmiał się, nucił coś pod nosem i gdy wyszedł z Bardzkim trzymając się pod ręce, starał się przybrać jego junaczą postawę.

— Na bok, babo! — zawołał Bardzki na jakąś ubogą kobietę idącą na przeciw nich, w wielkiej na oczach umbrelce, podpierającą się kijem. Mając twarz prawie zupełnie zasłoniętą nie spostrzegła idących i tuż do nich dotarła.

— Na bok, babo! — powtórzył Bardzki zatrzymując się. — Czyż nie widzisz, że idzie jaśnie wielmożne głupstwo z jaśnie oświeconym rozumem? Na bok, babo!

Kobieta szybko uniosła umbrelkę i spojrzawszy równie szybko twarz nią przysłoniła, mijając z widoczną trwogą zastępującym jej drogę.

— Wosiu! — zawołał Brodzki — a toć nasza znajoma Hetmanówna. Cóż za nowy koncept przyszedł jej do głowy przebierania się za starą babę?

Oba stojąc przypatrywali się, kobieta szła szybko nie oglądając się, jakby gnana przestrachem i gdy minęła pałac namiestnika, skręciła ku kościołowi Karmelitów. Jednocześnie przemknął koło nich powóz w ładnej uprzęży z liberyą suto ugalonowaną. Siedziała w nim pani Sabina z książką od nabożeństwa w aksamit oprawną, opartą na kolanach i zajęta żywą rozmową z młodą osobą przy niej siedzącą. Nie zwróciła uwagi na idących, Bardzki ją jednak spostrzegł, a gdy powóz także skręcił ku kościołowi, podumawszy chwilkę, rzekł:

— Otóż jedna moja tajemnicza baba, spieszy widać na nieszpory, aby obmyć się z figlów, których zapewne dosyć nabroiła. Wszystkich za bardzo przepobożnych to lękam się jak ognia. Z nimi to najtrudniejsza sprawa, łżą jak najęci, patrzą jednem okiem w prawo, drugiem w lewo a widzą co się dzieje za ich plecami. W mowie sama cnota, sama doskonałość, czas znaczą dniami spowiedzi, uroczystemi nabożeństwami, postami, pokutą, Bóg i kapłan wiecznie na ich ustach, a dyabeł za pazuchą. Baba ta, zdaje mi się, że do nich należy, bo klęcznikiem świeci w oczy, słodka niby cukierek a co słowo, pychą bodzie, chytrością mąci, jak lis, gdy przed goniącą psiarnią ucieka.

(*D. c. n.*)

ODCZYTY

NA RZECZ OSAD ROLNYCH.

(Dokończenie.)

Stoik nie troszczy się o przeciwności losu, cóż go to może obchodzić gdy zachował cnotę, która jest jedynym celem życia. Tylko cnotliwy jest wolnym i królem, choćby na jego rękach ciężyły pęta niewolnicze!

Nauka ta surowa, nieubłagana miała wielu zwolenników. Prelegent znakomicie opisał żywot stoika Epiteta, który był niewolnikiem. W dzień nauczał, bo pan jego ciągnął z tego zyski większe, aniżeli z ręcznej pracy wątłego niewolnika, nauczał o cnocie, która człowieka czyni wolnym i szczęśliwym, a w nocy spoczywał w ciemnej izbie pełnej niewolników i cierpiał srodze. Żadne udręczenia nie mogły na usta jego wywołać skargi. Pan jego był okrutny, a męztwo niewolnika mocno go gniewało. Jakże często, chcąc zmusić Epikteta do jednego choćby słowa narzekania na los, bił go. Pewnego razu tak silnie uderzył go po nodze, że aż ją złamał. Epiktet odpowiedział spokojnie: „A mówiłem ci, że bijesz nieostrożnie". I ten biedny niewolnik czuł się szczęśliwym, bo był mądry i cnotliwy.

Na tronie imperatorskim zasiadał Marek Aureliusz, także stoik, którego maksymy życia niczem się nie różniły od tych, które wypowiadał Epiktet — niewolnik.

Niebawem powstała nowa nauka, tamtej wprost przeciwna. Twórcą jej był Demokryt, wydoskonalił ją Epikur, od którego też przybrała nazwę.

Demokryt był znakomitym lekarzem greckim. Badania anatomiczne doprowadziły go do następujących twierdzeń: całem jestestwem człowieka jest ciało, układ atomów. Człowiek czuje i myśli, jak tego chce chwilowy układ atomów w mózgu. Ztąd naturalny wniosek, że wszystkiem dla nas jest zdrowie, ono jest regulatorem nietylko usposobienia, lecz nawet charakteru!

Kiedy się wreszcie organizm popsuje, ulega rozkładowi i nic z niego nie pozostaje. Duszy żadnej człowiek nie ma, życie pozagrobowe to tylko zabobon. Duchy, to wymysł starych plotkarek. Bogów żadnych nie ma, to także zabobon!

Naukę tę podjął Epikur.

Początkowo wykładał w miastach małych, gdzie nauka nie była jeszcze rozwiniętą, gdzie nie wymagano zbyt wielkiej wiedzy i — zrobił na tem majątek. Jako zamożny człowiek przybywa do Aten, kupuje dom z pięknym ogrodem i zakłada szkołę. Wykłady odbywały się w ogrodzie.

Nauka Epikura była rozwinięciem pomysłów i poglądów Demokryta. Teorya atomistyczna była podstawą nauki o powstaniu świata. Istniała przepaść wielka, w którą spadały atomy zaopatrzone w haczyki. Zaczepiały się, skupiały, łączyły i tworzyły światy różnorodne. Doskonałość ziemi naszej jest błędem, są światy doskonalsze,

lecz dla ludzi niedostępne i dlatego nam się zdaje, że nasz świat najdoskonalszy, że i my najdoskonalsi. Szczytem organizmów na ziemi jest istotnie człowiek. Ze wszystkiego co nas otacza jesteśmy istotnie najdoskonalsi.

A bogowie?

Nie ma żadnych bogów, bo i któż kiedy bogów widział, kto się z nimi kiedykolwiek spotkał? Powiadają ludzie, że bogowie są doskonali i wszechmocni. Gdyby tak było to dlaczegóżby nie zmienili świata, który przecież nie jest doskonałym. Ileż tu widzimy zbrodniarzy, którzy szczęśliwi żyją i włos im z głowy nie spadnie. Jeśli bogowie są potężni, dlaczegóż nie poprawią tego? Więc albo są bezsilni, albo się o nas wcale nie troszczą. Dlaczegóż my, mielibyśmy się nimi troszczyć?

Oto punkt wyjścia Epikura. Wobec takiego założenia, przedstawia się życie ludzkie jako rzecz skończona. Powinniśmy o nie dbać, używać póki życia starczy: *jedz, pij, bo po śmierci nie ma rozkoszy!* Kar i nagród po śmierci nie ma żadnych, a wierzenie w nie dla postrachu na nic się nie zda. Nikogo strach nie poprawi, a z drogi złej nie zwróci. Rozpustnik czy pijanica nie da się nakłonić do dobrego.

Sam Epikur był człowiekiem cnotliwym, nie nauczał rozpusty, ale jego nauka złe wydała owoce. Następcy jego nie robili sobie skrupułów i przytoczone powyżej zdania obrali sobie za dewizę życia. Gangrena zarażała życie rzymskiego społeczeństwa od dołu do góry. Dość zajrzeć w domowe życie rzymian z tej epoki, dość przeczytać kilka kart historyi Nerona...

Bogaty patrycyusz Rzymu używał aż do przesytu życia. Wtedy zjawiał się w jego domu żebrak okryty łachmanami. Siadał u progа i śmiał się na widok lukulusowego stołu.

„Życie takie krótkie, takie nędzne, po za grobem nie ma nic, a czyż to warto gonić za rozkoszami? Człowiek jak zwierzę zginie i nie pozostanie po nim nic prócz marnej garści popiołu, i cóż nam przyjdzie z użycia, z rozkoszy? Kiedyśmy tylko zwierzętami, więc żyjmy jak zwierzęta, jak psy ogryzajmy kości, a nie trudźmy głowy wymysłami zbytków!"

To teorya cyników. Satyra na teorye epikurejczyków, tak dobra jak i ona, tak samo racyonalna. Cynicy pobijali epikurejczyków ich własną bronią.

Po takiej reakcyi kapitularnej, nastąpiła inna. Potrzebę obalenia epikureizmu, który zbyt się rozwielmożnił w życiu Romy, dawała się czuć coraz bardziej.

Piękne zasady stoików nie przystawały do życia, jakie widziano dokoła; wiodący do upadku człowieczeństwa epikureizm nie mógł zadowolnić nikogo z myślących. Zaczęto powątpiewać o dobroci systematów filozoficznych. Powątpiewanie doprowadziło wszakże do zwątpienia, stało się źródłem sceptycyzmu.

Był to bardzo silny krytycyzm, obalający nieraz wszystko, lecz obalając złe, torował tem samem drogę dobremu. Był to radykalny karczunek, który przygotowywał ziemię do posiewu dobrego ziarna.

Krytyka wszystkich systematów filozoficznych doprowadziła wprawdzie do negacyi, dla negacyi samej, lecz wydała także i dobre owoce. Przedewszystkiem musiano spostrzedz żywotność myśli ludzkiej, która te systemata tworzyła. A więc myśl być musiała, więc i nie samo tylko ciało miało byt?

Zdobycz to była wielka, bo spowodowała zwrot do badań ducha, do wiary weń. Wiadomo, że wiara w nieśmiertelność ducha kiełkowała niejednokrotnie już dawniej. Wszak ta wiara przebijała z dzieł Platona, Sokratesa...

Nowy zwrot wywołał szkołę *neo-platończyków*. Idea krzewiła się zwolna na zbutwiałem ciele Romy i torowała drogę — chrześciaństwu. Nie było ono wypadkiem, niespodzianką. Wielka potężna wiara, znalazła grunt dobrze przygotowany...

POGADANKA.

Był ongi na ziemi raj, w nim ludzi szczęśliwych dwoje, On i Ona. Tak dobrze im było... jak w raju. Nam pozostała tylko tradycya tej szczęśliwości, a im dalsi od niej jesteśmy, tem więcej mówimy, więcej marzymy o raju. Nikt z nas nie widział tego rajskiego ustronia, lecz za to ileż się naczytaliśmy, choćby tylko w poezyi.

Owa szczęśliwa para utraciła raj przez zbytnią ciekawość Ewy. Był to jeden, jedyny wypadek, w którym ciekawość kobieca istotnie zawiniła. Odtąd wprawdzie wiecznie płeć piękną pomawiamy o ciekawość, lecz czynimy to niesłusznie. Kobiety tej wady — inni powiadają zalety — nie posiadają więcej aniżeli mężczyźni. Już sam Adam zdradził ciekawość przez chęć pokosztowania bodaj ogryzka jabłka, które zjadła Ewa, zapominając, że co smakuje jednemu, może być wcale niesmaczne dla drugiego, a cóż dopiero mówić o zdrowiu!

Z raju wygnani pierwsi rodzice szczęśliwsi byli od swych następców, oni bodaj zakosztowali raju, nam pozwolono o nim tylko marzyć. I odtąd zaczyna się ciekawość mężczyzn na dobre. Kobiety pracowały w cichości, jakby chcąc odpokutować jedyną ciekawość swej prababki, mężczyzni suszyli sobie głowę nad odgadywaniem, jaki też to był raj ziemski?

I nie odgadli!

Tysiące przypuszczeń i domysłów składało się na niezliczone obrazy raju, ale pewnego nie wiemy nic. Jest wszakże w tych wszystkich niepewnościach jedna pewność, oto że w tym raju koniecznie potrzebną była kobieta...

„Ah! moja miła!
Tam byłby raj gdziebyś ze mną żyła..."

śpiewał poeta, a miliony głów pochylały się w takt tak, tak, tak!...

Zdawało się, że już przecie raz odgadliśmy, iż raj na ziemi może stworzyć kobieta. Gdzież tam! Piosenka ta przebrzmiała, znalazło się wielu renegatów, którzy wypowiedzieli jej posłuszeństwo, a kiedy nowy poeta zawołał:

„Kobieto puchu marny..."

zawtórowano mu głośno. I to nie trwało długo, ród męzki nie mógł się zgodzić na jedno hasło, a ciekawość parła do nowych poszukiwań i badań jaki to był pierwszy raj na ziemi. Ciekawość nie doprowadziła do żadnego rezultatu, ród mocnych był gniewny i zaczęto pomrukiwać, że raj był jeden, a żeśmy go utracili winną była kobieta — i basta!

Ilerazy się nad tem zastanawiałem, dziwiło mnie dlaczego mężczyzni nie utworzyli państwa, w którem kobiet wcale nie było. Niechby to nawet był wytwór wyobraźni, jak owo mityczne państwo Amazonek, o którem mówi podanie greckie.

Widocznie w dawnych bardzo czasach, mężczyźni zupełnie byli z kobiet zadowoleni i dlatego nie myśleli nawet o społecznem separowaniu się. A może to kobiety były lepsze i nie dawały powodów do niezadowolenia panom, czy tyranom, same zaś cierpiąc wymyśliły sobie państwo Amazonek, które podanie po dziś dzień zachowało.

Alboż to dziś kobiety nie są dobre? — zapyta kto.

Różne bywają. Czytuję często o matronach zacnych, pełnych poświęcenia żonach, córkach żyjących jedynie dla rodziców i wtedy serce mi rośnie. Bywają inne. Dla tych ideały dobra i poświęcenia nie istnieją, one znają tylko świat zabawy. Do takich stosuje M. Konopnicka słowa gorzkie, ale pełne prawdy:

„O kobieto! co z płochą, rozbawioną zgrają,
Z salonu do salonu świetne wozisz stroje,
I jesteś, jak te nocne mdłych powojów kwiaty,
Co wtedy otwierają zamknięte kielichy,
Kiedy błękit gwiaździsty snem otula światy,
A przy każdem ognisku anioł staje cichy
I studzi trosk życiowych wrzące niepokoje,
I zadumanym czołom pieszczotę sam daje,
Ty, której puste serce goręcej uderza,
Tylko na dźwięk muzyki i widok tancerza,
Powiedz mi, co tam w domu robi — dziecię twoje?

Stroje i bale, bale i stroje, oto ich żywioł w nim się ciągle obracają, bez niego nie mogłyby istnieć. Kiedy przyroda da piękno, szafują niem bez rachuby, a gdy życie zje świeżość i urodę, uciekają się do sztuki. Złe to jest bardzo. W nowojorskim też „Heraldzie" czytamy ogłoszenie tej treści: w domu pod numerem 41 na Broadway, można widzieć za przystępną cenę kobietę, która nigdy nie używała sznurówki, ani pudru...

Nie jest to amerykański humbug, ale ostra satyra, na lekkomyślność, która stała się modą.

Powiecie może, że jestem nieprzyjacielem kobiet, że więcej widzę czarnych barw w drobnostkach, aniżeli ich jest w istotnem życiu. Nie, po tysiąc razy nie! Lecz wytłomaczę zkąd to pochodzi, iż świat tak wiele widzi złego w kobietach, że krytyka tej pięknej połowy naszego społeczeństwa nie ustaje, przeciwnie wzmaga się. Czy to słusznie? Nie! A więc krytyka tendencyjna? Także nie — to proste złudzenie.

Wytłomaczę się jaśniej.

Czytamy pewno dziesięćkroć więcej złego o kobietach, aniżeli dobrego. Opisują ich śmiesznostki, zbytki, kaprysy, drobne ułomności, czyny dobre rzadziej dostają się na drukowaną bibułę. Dzieje się to wszystko jedynie dlatego, że cnoty są milczące, że ukrywają się w zaciszu domowem, że są koroną życia rodzinnego, któremu świat nie wiele się przypatruje. Złe zaś jest krzyczące, hałaśliwie i każdemu wpada w oczy.

Oto wielka tajemnica, którą przecież tak łatwo odgadnąć — o pessymizm pewno nie będę teraz posądzony.

Czytałem niedawno o wynalazku, który najwięcej kobiety będzie obchodził. Mam tu na myśli przyrząd służący do odwracania nut. Przyrząd to bardzo dobry; trzeba tylko nogą dotknąć sprę-

żyny, a kartka jak za skinieniem czarodzieja odwróci się i grający nie dozna najmniejszej przerwy. A jednak wynalazek ten martwi mnie. Zaginie bowiem wkrótce pewien piękny zwyczaj, któremu tak radzi hołdują młodzieńcy. Jakże to przyjemnie było odwracać kartki nut, kiedy grającą była jedna z tych pięknych, która jest dla nas najpiękniejszą.

Znałem kogoś, co prześlicznie grał, osobliwie utwory Szopena, a ja tak lubię jego przecudowne marzenia! Grywała godzinami, stałem przy fortepianie, cały zasłuchany. Gdy trzeba było odwrócić kartkę, dawała mi znak oczami i skinieniem głowy... odwracałem najczęściej dwie kartki odrazu. Maszyna tego nie zrobi — ale bo ona nie wie, co to Szopen i — oczy!

Czytałem także, że już nie będzie potrzeba Fabera maszyny gadającej dla polecania dobrych książek, bo się w tym celu zawiązuje wielka spółka kolportacyjna, która będzie tylko zdrowy pokarm duchowy rozsyłała po kraju. Od pałacu do dworu, od dworu do chaty i przedmiejskiego domku będzie wędrowała dobra książeczka, siejąc ziarno piękna, zgody i pożytku. Chwasty powoli zaginą, albo pójdą na karmę dla długouchych smakoszy. I w tem kobiety oddadzą niewątpliwie wielką usługę, bo wiadomo, że pismo czy książka dostaje się zawsze najpierw do rąk kobiecych.

Kobiet, co godne są tego pięknego, szczytnego miana, nie braknie nam nigdy, a choć jedne zejdą z pola pożytecznej pracy, wychowają się na ich wzorach inne.

W ubiegłym miesiącu w Ołdakach, gubernii Łomżyńskiej zmarła kobieta, której imię złotemi należy wypisać głoskami. Była nią *Zofia z Koziebrodzkich Chełmicka*, ostatnim jej czynem był zapis, jakich niewiele możnaby naliczyć.

Oto treść testamentu:

Suma *90,000 rubli* będzie stanowiła kapitał żelazny na *trzydzieści* stypendyów po 50 rubli rocznie, z których będą mogli korzystać synowie oficyalistów prywatnych, ekonomów, pisarzy, ogrodników, lokai i stangretów, którzy przynajmniej dziesięć lat pozostawali w służbie na jednem miejscu. Ci którzy mają dawniejszą służbę będą mieli pierwszeństwo.

Piąta część stypendystów ma się kształcić na oficyalistów.

Na przytułek dla paralityków w Warszawie zapisała fundatorka *15,000* rubli.

Tyleż na utrzymanie sierot u świętego Kazimierza.

Dla instytutu głuchoniemych i ciemnych również *15,000* rubli.

Wreszcie dla nędzy wyjątkowej w Warszawie także *15,000* rubli.

Jakże to wymowne są cyfry, jak błogą pozwalają mieć nadzieję na przyszłość. A niewątpliwie zapis ten będzie dobrym posiewem, zachęci on niejednego do podobnego kroku.

Zresztą dziś fakt to nie odosobniony. Samuel Bergson ustanowił legat *10,000* rubli, od których procenta będą corocznie rozdawane na cele dobroczynne.

Towarzystwo osad rolnych i przytułków rzemieślniczych, krząta się około swego dzieła nadzwyczaj energicznie. Nie zaniedbuje ono żadnej sposobności, byle tylko przysporzyć funduszów, któreby umożliwiały rozwój tej, tak potrzebnej instytucyi. Podobno wiele osób zamierza przyjść jej w pomoc znacznemi datkami. Na początek złożono już w banku sumę *4,500* rubli, z zapisu ś. p. ks. Macieja Brudzyńskiego. Nie znamy jeszcze cyfry dochodu z odczytów tegorocznych, a nie powinna być małą. Zresztą jaka jest to: ziarnko do ziarnka, uzbiera się miarka.

Spóźniona wiosna spowodowała, iż roboty około urządzenia wystawy inwentarza ledwo zaczęto, lecz że czasu pozostaje jeszcze dość, możemy być pewni uporania się na termin. Wystawa ta zawsze ożywia Warszawę niezmiernie i jest zarazem zamknięciem ruchliwego sezonu. Potem robi się cicho, za to na kolejach ruch panuje ogromny. Każdy spieszy do wód krajowych lub zagranicznych, każdy radby odetchnąć świeżem powietrzem, którego w Warszawie za mało dla wszystkich. Dla pozostałych za to przestronniej i wolniej, ale może ciszej i smutniej. Skąpo mamy drzew i zieleni, bez których lato skwarne ciężkie do przebycia.

Lecz i po za miastem zdałoby się więcej drzew owocowych. Chodowlę ich zaniedbano, a zwrot ku lepszemu w tym kierunku objawia się bardzo zwolna. A jednak rzecz to korzystna. Owoce płacą się drogo, bo ich mamy nie wiele, a pielęgnowanie drzew nie wymaga znów ani tak wielkich nakładów, ani pracy.

Należałoby zwrócić uwagę, na obsadzanie drzewami owocowemi dróg. Obawa cieniu rzucanego na pola jest przesadną — lecz za to dla podróżnych jakże jest upragnionym.

Sadźmy i siejmy dobre drzewa, a dobre będziemy zbierali owoce.

Es. Zet.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Hajota. Nowelle. Nakład księgarni Teodora Paprockiego i S-ki. Warszawa 1883 r.

Ile razy przychodzi nam pisać sprawozdanie z dziełka, po przeczytaniu którego doznajemy uczucia miłego zadowolnienia, tyle razy pragniemy gorąco, aby uczucie to i innych czytelników ogarniało. Czy to powieść szerszych rozmiarów, czy też drobna nowella, napisana lekko, barwnie ze znajomością przedstawionego przedmiotu, napisana tak *od serca*, bezwarunkowo każdemu podobać się może.

Nowelle Hajoty należą do prac tego rodzaju. Przypatrzmy się im bliżej. „Zaduszny dzień Adamka” zapoznaje nas z dziesięcioletniemi dziejami podrzutka, który w wigilijny wieczór Bożego Narodzenia znaleziony został pod bramą domu zamieszkałego przez bogatą i dobroczynną rodzinę, która ze względu, że tegoż dnia urodził się państwu synek, postanowiła się zaopiekować podrzutkiem poruczając go szczególnej opiece i dozorowi starej pomywaczki, od lat już wielu służącej u owych bogatych i dobroczynnych ludzi. Adamek, z czasem dowiedział się od swej opiekunki, że nie miał ani ojca ani matki, a że serduszko jego pragnęło i rwało się do nieznanych mu pieszczot matczynych i miłości, tego źródła szczęścia ludzkiego, przeto w dziecinnej swej naiwności chciał swą opiekunkę starą pomywaczkę nazywać matką. Lecz ta wyłajała go, oświadczając, że ponieważ Bóg jej zabrał czworo dzieci, co ją matką zwały, więc widać że Bóg nie chciał, aby była matką.

Raz, w dzień zaduszny, gdy pomywaczka szła na Powązki by odwiedzić groby męża i dzieci, uprosił ją Adamek, że go wzięła z sobą.

Chłopak zaciekawiony niezwykłym widokiem, gdy stara się modliła odbiegł od niej i zabłądził wśród grobów. Deszcz zimny padać począł a nawet i ściemniać się zaczęło, wtedy dopiero Adamek spostrzegł, że zgubił swą opiekunkę, począł więc ją szukać, nawoływać, a zmęczony bieganiem i płaczem potknąwszy się o kamień, padł omdlały tuż nad świeżo wykopanym grobem, gdzie go też również zaniepokojona i przestraszona pomywaczka odnalazła. Przywiedziony chłopak do domu, zachorował ciężko, wywiązała się gorączka trawiąca i Adamek mimo pomocy lekarskiej i wielkiej opieki, na rękach pomywaczki, owej tak zawsze surowej i jak się zdawało nie mającej serca kobiety, usnął na wieki prosząc swej opiekunki by i na jego grobie w dzień zaduszny zawiesiła wianuszek, rozpaliła lampkę i aby go choć po śmierci kochała. Stara kobieta odczuła tę śmierć głęboko „oj, musiałam kochać — mówiła — inaczej było by żyło niebożątko”!

Oto rzewna i serdeczna treść pierwszej nowelli, w którą autorka wlała całą skalę uczuć, płynących prawdziwie z czystego i nieskalanego źródła miłości kobiecej.

Druga nowella: „Szkice kąpielowe” zupełnie innego pokroju, pełna humoru, nakreślona z wielką zręcznością i nie bez pewnej domieszki soli atyckiej, przedstawia nam życie kąpielowe i zabiegi młodzieży pragnącej tylko użycia i błyszczenia, a w gruncie rzeczy świecącej pustkami w sercu i głowie.

W nowelli tej wybornie są naszkicowane postacie Gustawa, znakomitego profesora, który przybył do kąpielowego miejsca celem odpoczynku a był zmuszony przed spotykającemi go ciągle owacyami ztąd uciekać. Dalej doktora C., poety Anatola-Wiesława postać arcy komiczną i innych osób wprowadzonych do akcyi odznaczającej się wielką ruchliwością.

Trzecia nowella „W porę” opiewa dzieje starej panny i starego kawalera, którzy długo bo lat trzydzieści żyjąc z sobą w przyjaźni, zapragnęli tę przyjaźń zapieczętować węzłem małżeńskim co jednak nie przyszło do skutku z przyczyny małej kłótni, która wykazała różnorodność ich charakterów i usposobień, nieprzeszkadzających do przyjaźni, lecz będących nieprzebytą zaporą do małżeństwa. Starzy też kochankowie a już i narzeczeni przyszedłszy do przekonania, że skoro Bóg nie zesłał im wcześniej myśli, pobrania się, to widać, że nie byli sobie przeznaczeni, dlatego też: „jak to dobrze, się stało, mówił pan Teodozy sześćdziesięcio-kilko-letni kawaler, do półwiekowej panny Róży, żeśmy się opatrzyli *w porę!*” Ileż tu pięknych obrazów, jak serdeczna rozbrzmiewa z niej nuta, a jak poczciwą jest ukryta w niej tendencya wykazująca przykładem namacalnym niemal, że szczęście małżeńskie nie polega jedynie na chwilowym wybuchu miłości lecz na silnej podstawie: zgodności charakterów.

W „Wachlarzu” opowiedzianą jest miłość młodego człowieka, który zakochał się w młodej i ładnej „kokietce”, kobiecie bez serca, igrającej miłością jak drapieżny kot z myszą, a która jak Aspazya nienasycona tryumfami i odbieranemi hołdami pragnęła coraz to nowych hołdów, nowych tryumfów choćby nawet kosztem życia dawnych kochanków. Egeniusz zakochał się szalenie w Klarze, która jak innych tak i jego zaprzęgła do swego tryumfalnego rydwanu. Raz Klara niby przypadkiem upuściła u nóg Eugeniusza Wachlarz na którym przed chwilą napisała wyraz: *Excelsior*, było to odpowiedzią na jego jawne niemal dowo-

dy miłości jaką ku niej pałał. Eugeniusz czuł się szczęśliwym marzył o przyszłości. Słowo: *kocham* padło między niemi. W rok później Klara wyszydziwszy Eugeniusza z cynizmem niemal odtrąciwszy go, wyjść miała za człowieka bogatego, dlatego tylko, aby jej dał wszystko to bez czegoby żyć nie mogła. Eugeniusz zrozpaczony zapadł na suchoty i w ostatniej niemal chwili ze wszystkiem zwierzył się przed przyjacielem bogatym adwokatem, a konając oddał mu ów wachlarz z napisem: „Excelsior". Opowiadający całe te wydarzenie, zabrawszy wachlarz, zgnębiony i strapiony śmiercią przyjaciela jak i jego opowiadaniem, udał się do swej narzeczonej, by jej wachlarz pokazać i przy jej pomocy wyszukać ową „kokietkę", by módz jako podarek ślubny dać jej wachlarz ofiarowany nieszczęsnemu Eugeniuszowi. Lecz jakież było przerażenie i podziw adwokata, gdy pokazawszy swej narzeczonej przyniesiony wachlarz, usłyszał z ust jej: „Mój wachlarz! Zkąd go pan masz?" Wtedy po bliższem objaśnieniu, okazało się, że ową „kokietką" był nie kto inny tylko narzeczona adwokata, który obrzuciwszy Klarę pogardą, stosunki wszelkie z nią zerwał. We dwa lat później Klara wyszła za milionowego przemysłowca. Nowella ta szerszego pokroju, nakreślona jest z niezaprzeczenie głęboką znajomością stanu duszy i serca kobiety „kokietki", dla której miłość, głębsze i trwalsze uczucie jest tylko czczą igraszką, która nic i nikogo nie kocha i której tylko o to idzie, aby jak najdłużej mogła być otoczona hołdownikami jej wdzięków i jej rozumu.

W piątej z rzędu nowelli „Nasza lampa" autorka przedstawiła bardzo zręcznie wspomnienia człowieka opuszczonego przez żonę, obudzone w umyśle jego na widok lampy, która w pierwszy wieczór ślubny, ozdabiając salonik młodego małżeństwa tak bardzo jego żonie się podobała, a którą po ucieczce żony, gdy opowiadający ciężko chorował, ze składu ukradziono. W lat dwadzieścia po tem wydarzeniu, opowiadający ujrzał ową ukradzioną lampę, wystawioną na licytacyą a kupiwszy ją, gdy wieczorem zapalił i siadłszy począł się w nią wpatrywać, wtedy przyszły mu na myśl wszystkie ciche i szczęśliwe wieczory jakie wraz z żoną przy niej spędził, i wtedy to mimo ciężkiej zniewagi jakiej doznał od kobiety, mimo tego, że niegodną okazała się być miłości jego, zrodziło się pytanie w umyśle, „gdzie ona teraz i czy też ona, pomimo wszystkiego, pamięta jeszcze... naszą lampę?" W słowach tych maluje się cała potęga miłości, która tlała jeszcze w sercu. O! człowiek ten kochał prawdziwie, lecz czy kobieta, która go opuściła była godną tego?

Ostatnią nowellą w tej wiązance jest „Dzwonek". Treść tej nowelli osnutą została na smutnym bardzo temacie nieszczęśliwej doli stróża kamienicznego, który w ciągu jednej nocy utracił ukochaną żonę, nie mogąc niczem okupić spokoju dla ciężko chorej, bo nocy tej na piętrze huczał bal a ciągłe dzwonienie dobijających się do bramy przyspieszyło nieunikniony kryzys.

Nowella ta tak jak: „Dzień zaduszny Adamka" i „Wachlarz" są po mistrzowsku nakreślone.

Wł. Kor. Zieliński.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Pan Edward Łojko, założyciel i kierownik Zakładu Rękodzielniczego dla kobiet, otwartego w Warszawie w 1873 r. kierował się tą niezaprzeczenie prawdziwą zasadą, „że na kobietach spoczywa budowa społeczna, gdyż od nich zależy cały kierunek rodziny, tego fundamentu narodów i ludzkości, a zatem jeżli Polki chcą przyjąć udział w ogólnym postępie naszej społeczności, powinny wyjść z biernego stanowiska w stosunkach społecznego życia, praktyczniej wychowywać swe córki i przygotowywać odpowiednio do spełnienia trudnych obowiązków obywatelek kraju. „Kobiety, mówi on, wywierają zawsze przeważny wpływ na nasze społeczeństwo, o ile zatem zwiększy się liczba wykształconych gruntownie naukowo i fachowo, o tyle podniesie się ogólny stopień oświaty i dobrobytu materyalnego w kraju naszym, a młode pokolenie, wychowane przez rozumne i kochające matki, wyrośnie na zacnych i pożytecznych obywateli kraju".

Wierny tej zasadzie pan Ł. pragnął założyć w Warszawie „Stowarzyszenie pomocy pracy kobiet" a Zakład swój rękodzielniczy zamienić na „Wyższy zakład naukowy dla kobiet" lecz nie uzyskał zezwolenia właściwej władzy. Obecnie chcąc upamiętnić dziesięcioletnią swą działalność i usiłowania w sprawie kobiet, złożył w Banku polskim 20,000 rs. jako fundusz żelazny swego imienia, z przeznaczeniem na mający kiedyś powstać w Warszawie uniwersytet dla kobiet.

Pan Łojko nie jest bogaczem, summa złożona na ołtarzu powszechnego dobra jest owocem długich lat pracy, tem większe więc należy mu się uznanie; życzyć tylko trzeba, aby przeznaczenie tej summy tak prawnie obwarował, aby mogła rzeczywiście posłużyć kiedyś na cel zamierzony i nie marniała bezpożytecznie jak zapis ś. p. Staszica.

*** W korespondencyi z Rowna do „Wieku" p. Edward Nieczuja w nader smutnem świetle przedstawia stan moralny tamtejszej młodzieży szkolnej. Już niedorostki z trzeciej klasy chełpią się lekceważeniem przeszłości, a uczniowie klasy siódmej posuwają do bezczelności pomiatanie wszystkiem co czcić i kochać powinni. Przewodnią ich myślą jest uganianie się za rublem i łatwe zyski zapewniającą karyerą — dla niej gotowi wyrzec się braci, przyjaciół, kościoła, pamiątek... Nieraz można widzieć, że w kościele *podczas Mszy św.* zamiast modlitw czytają gorszące książki. Z takich to młokosów wyrabiają się następnie oszuści, złodzieje i fałszerze!...

Wprawdzie skreśliwszy tak przerażający obraz, korespondent dodaje, że demoralizacya ta nie jest ogólną, że są rodziny i dzieci dbające o cześć własną i nieskalanie nazwiska, lecz chyba muszą stanowić mniejszość, kiedy zepsucie i nikczemność mogły się tak rozkrzewić.

„Czy młodzież owa, pyta szanowny Sęp z „Biesiady Literackiej" to sieroty wzięte z ulicy, co nie zaznały nigdy serdecznego uścisku matki, gorącego wspomnienia ojca? czy to podrzutki, czy to przybłędy?... jeżli nie, jeżli młodzież ta wyszła z pod strzechy uczciwej i strzechę tę zdradziła — warta jest kamienia u szyi!... A jeżli są matki chełpiące się takimi synami, to odwróćmy się od nich... odwróćmy się i od nauczycieli.

Korespondent pisze dalej: tam gdzie na polach cecorskich Żółkiewski położył głowę w walce z tatarską dziczą za wiarę i ojczyznę — my dziś nie mamy cmentarza!

„Boże drogi! kiedy ztąd i zowąd słyszy się wołanie: rozkoszy! zabawy! użycia! od kresów ukraińskich, obstawionych pamiątkami, przesiąkłej krwią bohaterów, wołają — cmentarza! W ziemi cecorskiej i okolicach mieszka dużo nawet dość zamożnych rodzin polskich — czemuż nie kupią kawałka ziemi, dlaczego nie ogrodzą go choćby własnemi rękami, nie postarają się o poświęcenie, dlaczego nie zbudują choćby najmniejszej, najuboższej kapliczki, nie wzniosą krzyża, nie usypią mogił, na których niktby się im modlić nie przeszkadzał? Czyż już tak upadliśmy duchowo, że tylko za groszem, za jadłem uganiać się potrafimy, tylko wołać: litości! litości!...

Bodajby te wymowne słowa trafiły do zamarłych serc czy zatyłych sumień mieszkańców cecorskich zagonów!

*** Przed parą tygodniami umarł we Francyi ks. Marteau, proboszcz ubogiej parafii w departamencie Marne, który podczas wojny niemiecko-francuzkiej wsławił się czynem prawdziwie bohaterskim a zarazem tchnącym bezgranicznem miłosierdziem chrześciańskiem.

W wiosce w której był wikarym, ochotnicy zabili oficera pruskiego; dowódźca oddziału oznajmił iż jeźli mieszkańcy nie dostawią mu winowajcy, w takim razie dwóch z nich stracić każe, dla pomszczenia śmierci swego towarzysza broni. Choć zagrożeni utratą życia, nikt nie zdradził rodaka. Barbarzyński dowódźca skazał na śmierć dwóch młodych wieśniaków, ojców rodziny. Ksiądz Marteau dowiedziawszy się o tem, nie wahając się ani chwili udał się do dowódźcy pruskiego oznajmiając mu, iż chętnie poświęca swoje życie dla ocalenia współbraci i pragnie być zamiast nich rozstrzelanym.

Ofiara jego przyjętą została; już stał pod murem naprzeciw plutonu egzekucyjnego, gdy przyszło ułaskawienie, dzięki któremu nie padł ofiarą prawdziwie bohaterskiego poświęcenia. Czyż taki kapłan nie stokroć więcej wart pomnika niż najgłośniejszy zdobywca!

*** Dnia 17 z. m. odbyła się w Livorno wśród ogromnego napływu cudzoziemców i wielu tysięcy krajowców należących przeważnie do najwykształceńszej warstwy narodu, puszczenie na morze nowego olbrzymiego pancernika „Lepanto". Jest on czwartym z kolei statkiem tak wielkich rozmiarów, wchodzących w skład marynarki włoskiej. Obrzędowi przytomni byli: król, królowa z następcą tronu, ministrowie, senatorowie, wielu wysokich dygnitarzy i posłów. Nową nawę poświęcił, za upoważnieniem Papieża, biskup z Livorno, a królowa Małgorzata dopełniła ceremonii chrztu, tłukąc na niej butelkę; do spełnienia tej formalności nie chciała, jak zwykle bywa, użyć wina szampańskiego, ale zażądała butelki krajowego, co wielki w tłumie wywołało zapał. Nowy olbrzym spuścił się szczęśliwie na fale morza Środziemnego. Ciężarem swoim zerwał jak nitki pajęcze dziesięć ogromnych lin okrętowych przeciągniętych na jego drodze, dla osłabienia impetu, zatrzymując się na ostatnich regularnie i bez uszkodzenia. Inżynierowie, bracia Orlondo, którzy go zbudowali, byli przedmiotem świetnych owacyi, króla i piękną królowę uosabiających w sobie niejako ideę jedności i coraz świetniej rozwijającej się potęgi Włoch, tłumy pozdrawiały z niekłamanym zapałem. Król zostawił znaczną summę dla ubogich i dla robotników pracujących przy budo-

wie pancernika, a biskupowi, który okręt poświęcił, posłał kosztowny pierścień.

Łącznie z pancernikami pierwszej wielkości uprzednio zbudowanemi „Duilio”, „Dandolo” i „Italja” Lepanto uzupełnia siłę marynarki włoskiej; żadna inną w Europie nie posiada tak olbrzymich pływających gmachów. Na te cztery pancerniki Włochy wydały 100 milionów, ale za lat kilka posiadać będą flotę mogącą walczyć nietylko z francuzką ale i angielską marynarką.

*** Nowo-Yorski „Times” zamieszcza artykuł wykazujący że wody zmniejszają się w Stanach Zjednoczonych w sposób niepokojący; rzeki i strumienie w Stanach nadatlantyckich nawet na oko niższy mają poziom niż przed 25 laty. Z powodu znikania źródeł i zmniejszania się deszczów, mnóstwo wód wewnętrznych zniknęło zupełnie, zaś poziom wielkich jezior z każdym rokiem się obniża. W wielu miejscowościach przystanie do których okręty z łatwością zbliżać się mogły, dziś oddalone są od wody. Porty stają się coraz płytsze i pogłębienie dokonywane w porcie Nowoyorkskim już temu zaradzić nie może. W Toronto, port pomimo pogłębienia aż do skały, stał się zbyt płytkim. Nawet wielka rzeka Hudson tak ucierpiała, iż szczególniej podczas lata w wielu miejscach jest tak płytką, że żegluga zaczyna być bardzo utrudnioną.

*** „American Farmer”, pismo przeznaczone dla kolonistów amerykańskich, podaje następujący nader łatwy sposób urządzenia komunikacyi telefonicznej pomiędzy dwiema fermami — potrzeba do tego tylko odpowiedniej ilości drutu i dwóch pudełek od cygar. W dnach pudełek robi się w środku otwór na pół cala średnicy i w każdym z domów mających być połączonemi, ustawia się jedno takie pudełko. Następnie jeden koniec drutu przewleka się przez otwór jednego pudełka i przymocowywa gwoździem, drugi koniec drutu w tenże sam sposób wprowadzony zostaje do drugiego pudełka. Drut może spoczywać na postronku. Dla skutecznego izolowania trzeba przeprowadzić drut przez otwór urządzony w szybie, pudełka zaś umieszczają się wewnątrz domów, na bokach przymocowanych pod oknem — i telefon gotów. Autor artykułu twierdzi, iż zaprowadził u siebie taką komunikacyę, kosztującą tylko 45 centów, i funkcyonuje ona doskonale, tak dalece iż przenosi nawet dźwięki melodikonu stojącego o 30 stóp od aparatu. Szkoda że nie jest wymienione na jaką odległość działa opisany przyrząd.

*** Zdaje się że redakcye dzienników w Japonii nie mają dostatecznej liczby współpracowników, mogących przygotować pewny zasób odpowiednich artykułów. Często zdarza się spotykać w dziennikach japońskich puste miejsca, za które redakcya przeprasza czytelników, tłomacząc się iż spostrzegła dopiero w ostatniej chwili że przygotowany artykuł jest zupełnie nieodpowiedni, musiała go więc wyrzucić a nie miała na razie innego mogącego zapełnić opróżnione miejsce. Bodajto mieć czytelników zgadzających się na taką manipulacyę!

*** Czynione nad Loarą próby zaaklimatyzowania rośliny herbacianej, zostały pomyślnym uwieńczone skutkiem. Herbata zaszczepiona na kameliach, zniosła dobrze temperaturę niżej zera. W Sycylii, w pobliżu Messyny, zasadzono przed trzema laty 120 krzewów herbacianych, i te dotąd utrzymują się zdrowo i wydały dużo liści i nasienia — jeźli tylko i aromat jest odpowiedni, to można mieć nadzieję iż uda się urządzić w południowej Europie rozległe plantacye herbaty.

*** Od lat pięćdziesięciu odbywano próby skroplenia tlenu, gazu wchodzącego w skład powietrza. Kilka lat temu p. Cailletet w Paryżu doprowadził zgęszczenie tlenu do pewnego stopnia. Gaz ten uwolniony z pod bardzo wysokich ciśnień, utworzył widoczną mgłę, nie udało się jednak francuzkiemu uczonemu zamienić ją w ciecz. Obecnie zdołał tego dokonać w Krakowie rodak nasz, profesor Zygmunt Wróblewski, który wraz z prof. Olszewskim, wystawiwszy tlen na działanie niezmiernie nizkiej ciepłoty, jakiej nikt jeszcze nie wytworzył, zamienił gaz ten w stan ciekły i otrzymał tlen w postaci cieczy bezbarwnej i przezroczystej. O tem ważnem dla nauki odkryciu, zawiadomił profesor Wróblewski rektora Radziszewskiego we Lwowie, oraz wielu uczonych zagranicznych. Znakomity chemik Dumas, stały sekretarz Akademii francuzkiej i członek tejże p. Debray, oraz wielu znakomitych uczonych, nadesłali prof. Wr. telegramy winszujące tak wielkiego odkrycia.

*** Roboty około przekopania kanału Koryntskiego prowadzone są nader pilnie. Myśl zbudowania tego kanału powziętą była jeszcze w bardzo odległych wiekach, z kolei pragnęli ją urzeczywistnić, Periander, Tyran Koryntu (628 lat przed Narodzeniem Chrystusa), Demetriusz, Juliusz Cezar i Neron. Obecnie obrano tenże sam kierunek budowy kanału, w jakim Neron przeprowadzić go zamierzał, jak o tem przekonywają odnalezione liczne ślady ówczesnych robót. Kanał będzie szedł w zupełnie prostym kierunku, z rozmiarami kanału Suezkiego, długość ma wynosić 6,342 metrów, szerokość 22 metrów u powierzchni, a 8 na całej długości u spodu. Koszt budowy obliczono na 30,000,000 franków, kanał ma być ukończony za cztery lata. Dotychczas wszystkie statki handlowe z portów morza Środziemnego, Francyi, Hiszpanii, Włoch, Austryi, Grecyi, Turcyi, Azyi Mniejszej i morza Czarnego, muszą okrążać przylądek Matapan, przebywać bardzo niespokojne morze i często na niem burze, czego unikną przepływając kanał Koryntski, a nadto, ponieważ droga będzie skróconą o 185 mil, dla statków płynących od strony Adryatyku, a o 95 mil od morza Środziemnego, koszta przeprawy znacznie się zmniejszą skutkiem krótszego czasu i zaoszczędzenia węgla. Kanał Koryntski obiecuje Grecyi wielkie korzyści tak na polu handlu, jak i przemysłu.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubranie spacerowe z krótkim stanikiem. Spódnica z gładkiego materyału, zakończona szeroką plisą deseniową; tunika z deseniowego adamaszkowego materyału, wysoko podpięta z boku szarfą. Baskina stanika przecięta w patki, łączone potrójnemi kontrafałdami. Kapelusz okrągły słomkowy, z szerokiem rondem i wysoką prostą główką, opasany aksamitką i zdobny kapłoniemi piórami.

Ubranie spacerowe z vêtement. Do spódnicy ze szkockiego materyału, układanej w kontrafałdy, dodane vêtement z gładkiego ciemno zielonego sukienka suto fałdowane i podpinane, przybrane aksamitem tegoż koloru. Kapotka z ciemno zielonej słomki przybrana piórami.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pa. Konstancyi W. Główna treść opowiadania z czasów feudalizmu, bardzo piękna, ale przeprowadzenie jej zbyt rażące dzikością i okropnością, czego w „Przyjacielu Dzieci” starannie unikamy.

Zawiadomienia.

Polki wyjeżdżające do Paryża, celem wykształcenia się w obranych przez siebie zawodach mogą znaleźć u jednej z rodzin polskich w tem mieście mieszkanie ze stołem, usługą i prawdziwie rodzicielską opiekę. Bliższą wiadomość o warunkach nader przystępnych, można powziąć w Warszawie w Redakcyi Tygodnika Mód i Przyjaciela Dzieci Widok Nr 3.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

Дозволено Цензурою, Варшава 6 Апрѣля 1883 г.

Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego,** Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

NIEBEZPIECZNE MAŁŻEŃSTWA.

I.

TRZY ŻONY HENRYKA SMIRT.

przez

ANAIS SÈGALAS.

Przekład **J. B.**

(Dalszy ciąg.)

Nie namyślała się długo, nietylko podobał jej się lokal i ulica, ale mówiła sobie iż będzie to trochę oryginalnie mieszkać w apartamencie przerażającego wdowca, i bawić się krzyżową robotą w gabinecie Sinobrodego.

Nazajutrz margrabina przybyła z mężem, którego pańska mina oczarowała odźwierną; była więc bardzo zadowolniona z wynajęcia lokalu tak dystyngowanym lokatorom.

— Przepraszam jaśnie państwa, rzekła, ale muszę uprzedzić iż gospodarz zastrzega bezwarunkowo aby nie trzymać psów ani papug, nie mogłabym więc wynająć tego lokalu, jeżliby jaśnie pan lub jaśnie pani...

— Bądź spokojna, odrzekła margrabina, mam wprawdzie wielkiego psa newfundlandzkiego — ale wypchanego, za papugę uważaćby chyba można moją pannę służącą, powtarzającą co tylko usłyszy.

Roześmiała się głośno dając odźwiernej tak hojny datek, iż ta uradowana i olśniona, wyprowadziła przyszłych lokatorów aż za bramę.

III.

Poszukiwanie trzeciej żony.

Henryk Smirt, daleko piękniej przedstawiający się w czarnym fraku i białym krawacie niż w owym pysznym szlafroku, pewnego wieczora wsiadł do swego powozu udając się na wielki bal wydany w salonach pani de Villeneuve, której zaproszenia były bardzo cenione i poszukiwane. Każda pani domu ma jakąś właściwą sobie specyalność. U jednej doskonale przedstawiają przysłowia; u drugiej zbierają się literaci i artyści, u innych bywają smaczne obiady i wieczerze. Jedne słyną ze swych salonów, inne ze swej spiżarni. Specyalnością salonu pani de Villeneuve był zbiór najładniejszych kobiet — był to istny ogród najświeższych róż i rozwijających się pączków. Starzy don-żuani wygłaszali tu grzeczności i pochwalne ody; młodzi *zdechlaczki* szukali posagów do wzięcia; poetyczne serca wybierały niekiedy kwiat piękności bez posągu — ale tacy pojawiali się bardzo rzadko—wyliczano trzech w przeciągu lat dziesięciu.

Pani de Villeneuve, lubiła kojarzyć małżeństwa, a że nie znała zupełnie prawdziwej czy bajecznej historyi opowiadanej przez panią de Fargy na bazarze na dobroczynność, wzruszała ją i zajmowała smutna dola Henryka Smirt. Margrabina de Fargy widziała w nim Henryka VIII, pani de Villeneuve nieszczęśliwego wdowca, ofiarę niepojętego fatalizmu. Któraż miała słuszność?...

Tak tedy pani de Villeneuve zamierzała nakłonić Henryka aby się ożenił po raz trzeci, będąc pewną że zapewni szczęście wybranej przez niego kobiety. Mówiła sobie że pan Smirt przedstawia świetną partyę, gdyż najpierw jest bardzo bogaty, a przecież w dzisiejszych czasach jest to najpierwszą cnotą teologiczną, czyli raczej małżeńską, powtóre jakkolwiek nie wylegitymowałby się od Tezeusza, pochodzi jednak z dobrej rodziny, a po trzecie jest młody, piękny jak Adonis, zdolny bardzo samym blaskiem swych oczu rozpłomienić serce dziewczyny.

Piękny wdowiec przybył gdy już wszyscy goście byli obecni i pani domu obdzieliła ich już uśmiechami i grzecznemi słówkami powitania, mogła więc swobodnie rozmawiać z wybranymi.

Gdy się zbliżyła do Henryka, ten wiedząc że jej to sprawi przyjemność, rzekł uprzejmie:

— Jakże śliczny bukiet wyborowych piękności zgromadziła pani w swoim salonie.

— Prawda że rzadko zdarza się spotkać ich tyle razem, odrzekła z zadowolnieniem, a po chwili dodała: Czy nie zamierzasz pan się żenić?

— Ależ pani...

— No, mówmy rozsądnie. Straciłeś pan dwie żony, jedną po sześciu miesiącach drugą w rok po ślubie; straszna to boleść, ale za młody pan jesteś aby nie szukać na nią pociechy, tem więcej, dodała z uśmiechem, że wdowcy daleko po niej skłonniejsi niż wdowy. Wiele mówią i piszą o wdowach indyjskich palących się na stosach, ale nikt nie słyszał aby wdowiec jaki stał się podobną ofiarą całopalenia.

— Bo wdowcy poprzestają na tem że na grobach żon zabijają swe serca.

— Tak, mówiąc pod przenośnią... zawsze to nie tak niebezpieczne... No, pozwól pan probować przywrócić do życia to zamarłe serce — może mi się uda. Czy wydaje się to panu nie możebnem?

— Tego nie mówię...

— Oto rozumna odpowiedź! przerwała. Spojrzyj pan tylko na to koło tańczących, a przyznasz że mam śliczne ptaszki w mojej ptaszarni. Oto, naprzykład ta blondynka, tańcząca vis à vis brunetki.

Młoda blondynka miała prześliczną, tak świeżą cerę, iż mogła współzawodniczyć z jej różową suknią. Była piękna, rozpromieniona, uśmiechnięta, może nieco za pełna, ale jaśniejącą zdrowiem i silną budową; słowem piękne dziewczę, w całym blasku i rozwoju swej wiosennej młodości.

Henryk Smirt wlepił w nią głębokie, badawcze spojrzenie, a po długiem rozpatrzeniu odpowiedział:

— Nie podoba mi się wcale.

— A!.. doprawdy zbyt pan jesteś wymagający... to jedna z moich pereł pierwszej wody... No, a cóż pan powie o tej brunetce?.. uprzedzam że ma 500,000 fr. posagu.

— Ach! zawołał, i oczy jego zabłysły.

Owa brunetka była to uderzająca piękność, doskonale odpowiadająca piękności Henryka. Cała jej postać tchnęła życiem i zdrowiem; wysoka, posągowo zbudowana, piersi i ramiona jakby utoczone. Henryk orzucił ją równie badawczem spojrzeniem jak pierwej blondynkę; pani de Villeneuve już uśmiechała się trumfująco, gdy w tem Henryk odpowiedział znowu:

— Nie podoba mi się wcale.

— A! zawołała niezadowolniona, żądasz pan chyba Venus z Milo?... ależ nie zapominaj że brak jej jednej ręki.. Czy i 500,000 fr. posagu nie podoba się panu?

— Przeciwnie; tylko chciałbym w tych ramkach inny widzieć obraz.

— Życzenie to pozostanie nie spełnione. Jest tu wprawdzie jeszcze jedna panna bogata, mówią że mieć będzie przeszło 400.000 fr. posagu, ale jak tylko te dwie piękności nie podobały się panu, ta tem mniej zdoła go zadowolnić. Wprawdzie ładna, ma piękne rysy, ale bardzo wątła i delikatna. Żałuję że nie mogę żadnej innej panu wskazać, dodała chcąc odejść.

— Ach! przez litość! zawołał, nie odchodź pani nie pokazawszy mi jej.

— Chcesz pan ją poznać? Oto tam, właśnie tancerz odprowadził ją do jej miejsca, a choć tańczyła tylko kadryla, jest tak zmęczona że ledwie oddychać może.

Była to panna Amedina d'Armangis, córka tego wspaniałomyślnie hojnego pana, który kwiaciarce w bazarze zapłacił sto franków za bukiet z białego bzu. A kupił go dla ukochanej córki, nie zaś jak wnosiła pani de Fargy dla jakiejś podejrzanej piękności.

Zapewnie iż i wymagania światowe oddziaływały na tak hojną zapłatę, ale główną pobudką dla pana d'Armangis była chęć sprawienia miłej niespodzianki córce. Zaniósł ten biały bukiet swej ubóstwianej pieszczotce, jak inni składają kwiaty na ołtarzach. Zarzucał Amedinę podarunkami i niespodziankami, za które odpłacała mu się serdecznemi pocałunkami i dziecięcą radością; ale cenniejszemi nad najkosztowniejsze podarunki, były nieprzebrane skarby przywiązania jakiem ją otaczał. Serce, to bogacz stokroć bogatszy od wszystkich milionerów, a nadto posiada ten nieoceniony przywilej, że wydając nieprzestannie, nie rujnuje się jednak.

Amedina liczyła zaledwie lat ośmnaście; była ładna, pociągająca, ale wątła i delikatna. Miała rysy bardzo regularne, cerę alabastrowo-białą, na policzkach blado różowe kolorki. Piękne popielato-blond włosy, tworzyły około twarzyczki jakby ramę z obłoków; wielkie niebieskie oczy nęciły jakąś magnetyczną siłą, patrzyły tak słodko iż zdawały się mówić: „Pamiętaj o mnie!"

Cała postać jej wydawała się tak powiewną i poetyczną, jakby należała do jakiegoś innego, nie ziemskiego świata, i patrząc na nią chciało się mimowolnie pochwycić ją za rękę, aby nie uleciała w obłoki.

A więc była to postać powabna i urocza — i tak i nie. Szczuplutka jej figura pochylała się jak trzcina, policzki były nieco zapadłe, ręce od ramienia za szczupłe, tak że łokieć za nadto się odznaczał, słowem brakło jej *trochę więcej ciała* aby być przez ogół uznaną za piękną, to też utrzymywano powszechnie że miła, sympatyczna, ale nie ładna. Jakże to nie wiele jest oczu umiejących dopatrzeć piękności poetycznej, a Amedinie należało więcej przypatrywać się sercem niż wzrokiem.

Henryk nie umiał patrzeć w ten sposób, jednakowoż rozejrzawszy się w niej bacznie i zimno, zwrócił się do pani de Villeneuve, mówiąc:

— Podobała mi się, śliczna.

— Przecież! zawołała pani de Villeneuve, a jed-

nak nie jest ona bynajmniej tak słynną pięknością jak owe dwie gwiazdy, które pierwej panu pokazałam... Ale nie to piękne co piękne tylko co się komu podoba.

— Czy raczy pani teraz dać mi poznać bliższe szczegóły.

— A tak, odpowiedziała z uśmiechem, wykaz posagu, ruchomości, świetnych nadziei — słuszne żądanie. Co do posagu, idąc za mąż dostanie zaraz 400,000 fr. nie wiem tylko czy w ziemi, w papierach lub gotówką. Ojciec, który stoi obok niej i wpatruje się w nią z czułością, był dość długo przewodniczącym w administracyi jakiejś kolei, i zrobił ogromny majątek, który po jego śmierci spadnie na córkę, gdyż jako jedynaczka dziedziczy cały spadek. Matka jej dawno umarła; wielka to strata dla niej ale wielka korzyść dla jej męża, gdyż prędzej i niepodzielony odbierze spadek.

Czułe te sprawozdania, w których wybrana przedstawia się w ramach ze swych nieruchomości i w koronie z różnych akcyj, w których jedynie dlatego nadmienia się o rodzicach aby zawczasu wypisać liczby na ich pogrobowych tablicach jakby w książce rachunkowej — poprzedzają niezbędnie każde oświadczyny; są one jakby zapałki chemiczne, niezbędne do rozpłomienienia serca konkurenta.

Po odejściu pani de Villeneuve, Henryk Smirt długo w milczeniu przypatrywał się Amedinie, jakby chcąc sprawdzić gruntowność pierwszego wrażenia; nareszcie zbliżył się do niej z głębokim ukłonem, mówiąc:

— Czy raczy pani przyjąć zamówienie do piewszego walca?

Podniosła na niego swe wielkie, niebieskie oczy, i odpowiedziała zarumieniona:

— I owszem.

Jak tylko się oddalił, pani de Villeneuve usiadła przy niej, mówiąc:

— Winszuję ci, moja droga, podobałaś się i zostałaś zamówiona przez najpiękniejszego, najświetniejszego z obecnych tancerzy.

— Rzeczywiście, odpowiedziała naiwnie, tancerz mój przyszły jest bardzo piękny.

— A!.. więc podobał ci się... nie dziw, jest on, że tak powiem w modzie, zajmuje świetne w świecie stanowisko, i posiada wielki majątek.

Spojrzawszy na nią z zadziwieniem, Amedina odpowiedziała obojętnie:

— Tem lepiej dla niego, ale cóż mnie to obchodzi. Jak teraz żądam tylko aby tańczył dobrze i do taktu.

Jak tylko dały się słyszeć pierwsze dźwięki walca, Henryk Smirt zbliżył się natychmiast do zamówionej tancerki i zaczęli tańczyć. Po kilku obrotach zatrzymał się spostrzegłszy że Amedina zaczyna oddychać ciężej, i ponawiał to kilkakrotnie zapytując jej z najtroskliwszem zajęciem czy nie czuje się bardzo zmęczoną. Korzystając z tych między aktów rozmawiał z nią, przypatrywał się badawczo, i już to orzucał iskrzącem już czułem spojrzeniem, a po chwili znów nagle zaczynał tańczyć.

Wysoki ten i silny tancerz i szczupła, wiotka tancerka, dziwną tworzyli sprzeczność. Amedina prawie stopami nie dotykała posadzki; czuła się jakby unoszoną po nad ziemią; żelazna ręka pokryta białą rękawiczką otaczała jej kibić którą mogłaby złamać zacieśniając się; czuła się unoszoną jak kwiat urganem. Doznawała jakiegoś niepojętego uczucia; jak wszystkie słabe istoty potrzebujące opieki, lubiła czuć nad sobą jakąś przewagę, a nadto pochlebiało jej że ten piękny i doskonały tancerz ją wybrał z pośród wielu. Ilekroć podniosła oczy, spotykała utkwione w siebie jego płomienne spojrzenie, wtedy dreszcz ją przebiegał, serce silniej biło. Prędko pochylała głowę, więc nie mogła widzieć że palące jego spojrzenie odzyskiwało wówczas zwykły swój wyraz, stawało się zimnem i ostrem, w jednej chwili ogień w lód się zamieniał. Gdy chciał magnetyzować — umiał w jednej chwili nadać oczom żądany wyraz.

Walec ten był istnym walcem Mefistofelesa.

Bal skończył się nareszcie jak wszystko na świecie — ale jak odcinki tak i bale mają często swój dalszy ciąg. Tancerz i tancerka miewali sposobność widywania się, bliższego poznania i prowadzenia poważniejszych rozmów, niż tańczący jedną zaledwie nogą dotykając ziemi.

Oprócz balów dawanych niekiedy, pani de Villeneuve przyjmowała stale co tydzień, na wieczorach tych nie tańczono tylko zabawiano się rozmową, przerywaną filiżanką herbaty. Dla Henryka Smirt było to daleko pożądańsze niż bale. Na balu, młode panny prawie nie siadają, i równie trudno je schwytać jak latającego motyla: ale w dłuższej, co tydzień ponawiającej się rozmowie, można poszepnąć najpierw pochlebne, następnie czułe słówko, słowem starać się podbić serce. Miał więc sposobność zastawić sidła, dokonać podboju.

W miesiąc po balu, pan d'Armangis odebrał list od pani de Villeneuve, w którym prosiła aby przyszedł gdyż pragnie z nim pomówić; w godzinę potem był już z powrotem i zawołał Ameminy.

— Czy wiesz, kochane dziecię, po co wezwała mnie pani de Villeneuve? powtórzę ci to przez skrupuł sumienia, ale jesteś jeszcze tak młoda i tyle masz czasu przed sobą, iż naprzód pewny jestem że odmówisz. Oświadczono się o twoją rękę.

— Kto taki, mój ojcze?

— Pan Henryk Smirt.

— Ach! zawołała tylko, i drżąc cała mocno się zarumieniła.

— Przyznaj że byłoby to szczególniejsze małżeństwo, mówił. Ty, dziecię moje, której serce jest tak młode i świeże, miałabyś iść za wdowca co już pochował dwie żony!.. Niepodobna!.. masz prawo do pierwszej miłości a nie do trzeciej...

— Tak, rzekła wzdychając, myślałam już o tem.

— Jakto?.. myślałaś o tem że on oświadczy się o twoją rękę?..

— To jest miałam tę nadzieję...

— O nieba! zawołał pan d'Armangis, więc go kochasz?..

— Ojcze drogi, wszak musisz sam przyznać że nie znalazłabym piękniejszego, dystyngowańszego i powabniejszego męża. Tak jestem uszczęśliwiona ilekroć spotkam go u pani de Villeneuve — a szczególniej na tygodniowych wieczorach, na których nie tańczą tylko rozmawiają. Nie uwierzysz z jakim niepokojem wpatruje się we drzwi salonu czekając jego przybycia, jak jestem rozpromienioną gdy on się w nich pokaże! Wczoraj będąc tam, słyszałam użalających się że wieczór był bardzo nudny — dla mnie w tejże chwili stał się błogim i uroczym — zobaczyłam że on wchodzi.

— A więc kochasz go, rzekł nakoniec smutnie pan d'Armangis, i chcesz mnie już opuścić... Zastanów się jednak, moje dziecię, pomyśl o dwóch jego małżeństwach... wprawdzie nie ma dzieci, ale zawsze bardzo to przykre dla tak młodej jak ty dziewczyny, następować po dwóch takich wspomnieniach.

— O! tak, będzie to bardzo bolesnem dla mnie... będę zazdrosną o przeszłość!.. ale na to nie ma rady. Oswoję się z tą myślą; a kocham go i z nim tylko szczęśliwą być mogę.

— Dziwna rzecz, doprawdy! rzekł pan d'Armangis; zdawałoby się że z twoim tkliwym i łagodnym charakterem, powinnabyś pokochać młodzieńca serdecznego i otwartego, a nie ten surowy, olimpijski posąg.

— Otóż właśnie oczarowała mnie surowa jego, jakby rozkazująca mina. A! gdybyś wiedział kochany ojcze!.. jak nieokreślonego doznaję wrażenia... pociąga mnie ku niemu jakaś nieprzeparta siła, czuję przewagę której oprzeć się nie mogę... Ogarnia mnie wielki niepokój ilekroć zbliży się do mnie, a zarazem bezmierna radość że zwróciłam jego uwagę.

— Oh! niewdzięczne dziewczęta! zawołał z goryczą. Lat kilkanaście otaczamy je bezgranicznem przywiązaniem, starając się aby nas kochały, a tu pierwszy nieznajomy i obcy od razu zyskuje ich miłość.

— Ależ ja was obu zarówno kochać będę! zawołała ściskając ojca.

— Tak, obu zarówno! odrzekł smutnie. Dotąd kochałaś mnie jednego, a dziś wydziera mi połowę twego serca jakiś obcy, o którym miesiąc jeszcze temu nie wiedziałem że żyję na świecie... A masz dopiero lat osiemnaście, mogłem więc mieć nadzieję że jeszcze przynajmniej parę lat mnie nie opuścisz... Złudna nadzieja! chcesz odlecieć z gniazdka, zostawić mnie samego, z ukochanem twojem wspomnienieniem.

— Ależ, ojczulku, nieustannie będę do ciebie przychodzić — nie mogłabym żyć bez ciebie.

— Tak, a przecież pragniesz mnie opuścić... Smutne to, ale cóż czynić, są to prawa życia którym poddać się trzeba. Ożeniwszy się, mamy córkę, kochamy się we troje, dom staje się rajem; nareszcie najpierw opuszcza go ukochana żona — przychodzi śmierć i porywa ją jak złodziej. Rozpacz nas ogarnia, oglądamy się do koła a nie widząc jej nigdzie, mówimy sobie: „Skoro jej tu nie ma, umrę aby się z nią połączyć" w tem uczuwamy drobne rączęta otaczające naszą szyję, słyszymy dziecięcy głosik wołający: „Ojcze!" odwracamy się ku ukochanej dziecinie, przyciskamy ją do serca, wołając z głośnym płaczem: „O tak! skarbie mój jedyny! żyć będę dla ciebie!" I gwałtowna rozpacz uspakaja się powoli w cichy zamieniając się smutek, i serce podzielone na dwie miłości, oddaje się teraz całkiem ukochanemu dziecięciu. Czuje się zawsze brak w domu ukochanej twarzy, ale łączy się z sobą i zbliża tak ściśle, aby nie widać było próżni w domowem ognisku... jak wpierw we troje, kochamy się teraz we dwoje... Aż nareszcie, po upływie lat kilku, spostrzegamy się że dziewczątko wyrosło na pannę, i nagle ktoś wydziera nam ją jak śmierć wydarła matkę... Wtedy pozbawieni zostajemy tej ostatniej pociechy aby się kochać we dwoje, sami pozostajemy w domu... Straszne jest takie osamotnienie. . straszne!

Amedina rzuciła się ojcu na szyję, wołają z płaczem:

— Drogi, kochany ojcze! nie chcę iść za mąż — pozostanę z tobą!

— Nie moję dziecię, nie wymagam tego... byłoby to występne samolubstwo. Ten pan Henryk Smirt potrafił pozyskać twoją miłość; to co mówiła mi o nim pani de Villeneuve przemawia za nim, jednakże nie poprzestając na tem, postaram się zasięgnąć więcej szczegółowych wiadomości. Są przecież osoby znające go bliżej, zwrócę się więc do nich będę się rozpytywał, badał, aby wiedzieć czy mogę oddać mu mój skarb najdroższy... A jeźli się przekonam że jest godnym ciebie, wtedy powiem ci:

„Idź za niego, dziecię moje, uściskaj mnie, opuść, tylko nie zapomnij o mnie!”

Pan d'Armangis zaczął tedy dowiadywać się jak najtroskliwiej o tego nieznajomego pragnącego zostać jego zięciem. Nie znał kółka znajomych pani de Forgy, nie doszły więc do niego straszne rzeczy jakie rozpowiadała o nim, przeciwnie wszystkie osoby do których się zwracał mówiły mu o Henryku Smirt jako człowieku porządnym i poważnym, prawnie posiadającym znaczny majątek. Nie miał więc żadnego słusznego powodu odmówienia mu ręki córki której serce pozyskał, i która wyznała mu szczerze że z nim tylko może być szczęśliwą.

Tak więc Henryk Smirt zaczął bywać w jego domu, wprowadzony przez panią de Villeneuve i przyjmowany jako starający się o rękę Amediny. Wszystko więc szło po jego myśli, i zapowiadało że wkrótce Amedina zostanie żoną tego tajemniczego wdowca.

IV.

Przeczucia Marynki.

W domu pani d'Armangis była jedna jeszcze osoba o której nie wspominaliśmy dotąd — to jest Marynka, kucharka.

Pozostawała ona od najdawniejszych czasów w rodzinie Amediny. Służyła u rodziców matki Amediny, gdy pan d'Armangis starał się o nią; ona przyrządzała obiad ślubny, z czego nadzwyczaj była dumną i powtarzała przy każdej sposobności.

Przy niej przyszła na świat Amedina; przy niej, w ośm lat później umarła jej matka. Zarówno z rodziną przywdziała żałobę, i biorąc na ręce małą sierotkę, obsypała ją pocałunkami, mówiąc ze łzami: „Biedna Dinko, nie masz już matki, bo ona już teraz jest świętą w niebie, ale Marynka będzie cię wychowywać i pieścić jakby swoje własne dzieciątko.”

Amedina rosła i wyrosła na zręczną i powabną panienkę; Marynka roztyła się i doszła pięćdziesiątki, nie opuszczała przecież swojej wychowanki, ciągle chodziła do miasta z koszykiem, który umiała zachować tak długo jak nie wielu dawnych, a żaden z dzisiejszych ministrów swe portfele.

Skutkiem tak długiej służby i szczerego przywiązania, spoufaliła się z państwem nie mogła się odzwyczaić od mówienia pannie d'Armangis *ty* lub Amedinko, ale tak ją lubiono i ceniono że nie gniewano się o to. Znała zmarłą i można było mówić z nią o niej; znała przeszłość rodziny lepiej jak najwięksi przyjaciele; obok książki rachunkowej zachowywała w sercu księgę pamiątek rodzinnych. To też pomimo że dobrze się podstarzała, zawsze pozostała Marynką.

— Marynko, rzekła pewnego dnia Amedina do poczciwej sługi sprzątającej pokój, powiem ci nowinę — idę za mąż.

— Panie święty! co też wygadujesz Amedinko!.. gdzież tobie iść za mąż!.. ty dziecko takie, nie tak dawno odstawione od piersi... przecież pamiętam dobrze.

— Nie tak znów bardzo niedawno, bo już temu lat siedemnaście — przecież skończyłam lat ośmnaście.

— A prawda! jak to czas leci... Więc masz iść za mąż. Amedinko... to jest panienko?.. Ale dla ciebie potrzeba męża w najlepszym gatunku, jak twój ojciec, który jest najlepszym z ludzi... Czy ja znam twego przyszłego? czy go choć widziałam?

— A jakże! był tu już kilka razy — jestto pan Henryk Smirt.

— Co! zawołała Marynka, tak przestraszona że słowa więcej wymówić nie mogła.

— Co ci się stało, Marynko?

— Ależ to niepodobne niepodobieństwo! zawołała odzyskawszy nareszcie mowę, ty, panieneczko moja, miałabyś pójść za wdowca dla którego stanowiłabyś numer trzeci?.. A to dopiero zasmakował w aktach municypalnych! Dotąd urządził już sobie małżeństwo w trzech daniach... proszę, jaki mi gagatek!.. Ależ czy też zastanowiłaś się nad tem że przy najlżejszem nieporozumieniu, zawsze ci powtarzać będzie: Ach! pierwsza moja żona była daleko łagodniejsza!.. ach! druga moja żona była uważniejsza i troskliwsza o mnie!.. był to wzór dobrej żony! Eh! chyba to jeszcze nic pewnego!..

— Jestto najzupełniej pewne, odrzekła Amedina, i Bogu za to dziękuję, bo kocham go z całej duszy— a i on tak mnie kocha!..

— Wielka sztuka!.. mądry ptaszek! wiedział kogo wybrać!.. wiedział że takie śliczniutkie jak ty jedynaczki przy drodze nie siedzą!.. A prawdę mówiąc, wiedział także iż dobry robi interes... bo wiedz o tem, kochanko, że wszyscy mężczyzni są interesowni... chytre to szpaki!..

— Nie bardzoś grzeczna dla mnie, Marynko, mowa twoja przykrość mi sprawia.

— No, dziecko moje, nie gniewaj się, wszyscy przecie wiedzą że ojciec twój jest bogaty i mówią powszechnie że setki tysięcy da ci w posagu. Teraz trzeba dużo a dużo pieniędzy aby zwabić kunkurenta — panicze ci drogo za siebie płacić każą. Widzisz, Amedinko, z nimi to tak jak z mięsem i z drobiem, coraz droższe a przecież nie kruchsze, owszem twarde to i łykowate.

— Cicho, cicho Marynko, nie pozbawiaj uroku mojego ideału; nie wyrażaj się w ten sposób o miłości i o małżeństwie, to tak boleśnie!..

— Cóżem ja winna, paniusiu, że mi się ten pan bardzo nie podoba..! pięknyć jest, co prawda, ale...

— I cóż możesz mieć mu do zarzucenia?

— Najpierw, przechodząc nigdy nie powita mnie ani słówkiem, a potem ma jakąś nieprzystępną, złą i odpychającą minę. O! nie będzie to wcale małżeństwo z Bożego natchnienia, jak było połączenie się twojej matki i ojca; znali się oni i kochali cztery lata przed ślubem, a ty Amedinko, zaledwie poznałaś tego pięknego pana...

— Znamy się przecie już od dwóch miesięcy.

— Wielka mi rzecz!.. Otóż to jak teraz wszystkie modne panny wychodzą za mąż... Przed dwudziestu lub trzydziestu laty nie pędzono tak galopem, miano więc czas poznać się i ocenić. Widzisz, kochanko, małżeństwo to nie smażenie co to chwilkę tylko potrzymać nad ogniem — i już — należy je gotować dłużej, bo niedogotowane może być bardzo niezdrowe. Trzeba się dobrze namyśléć zanim się przyjmie obowiązek za który podziękować nie można. O! twego ślubnego obiadu nie będę gotować z taką radością jak dla twoich rodziców — bo to ja przyrządzałam go dla nich!

— Wiem, wiem... mówiłaś mi to już ze dwadzieścia razy.

— Oh! panniusiu moja! coś mi mówi że gorzkie przejścia czekają cię w pożyciu z tym pięknym panem! No, ale niechby tylko jegomość sprobował czynić cię nieszczęśliwą, zobaczy że potrafię cię bronić!..

Pomimo jednak odradzań Marynki, kończono wyprawę i przygotowania do ślubu. Henryk Smirt przysłał narzeczonej przepyszny *corbeille de mariage*, w którym znajdowały się bogate klejnoty i podarunki ofiarowywane dwóm pierwszym z kolei żonom, a które wdowiec dawał teraz trzeciej — były to więc nader hojne i zarazem nader oszczędne podarunki ślubne.

Nadszedł dzień podpisania umowy przedślubnej; przybyły notaryusz zasiadł poważnie przy stole, zajmując miejsce między p. d'Armangis a Henrykiem Smirt. Jak tylko zaczęto czytać ten akt urzędowy, Amedina uciekła na drugi róg salonu, zatykając sobie uszy. Nie rozumiała potrzeby wlepiania między stronice dziejów jej miłości, suchych artykułów Kodeksu, i zalewania uroczych jej marzeń powodzią notarialnego atramentu, niby wodą gaszącą ogień.

Henryk Smirt innego był zdania; on słuchał z natężoną uwagą odczytywania artykułów umowy przedślubnej. Gdy przyszło do wniosków obu małżonków, notaryusz wymienił najpierw 700,000 fr. jako summę majątku Henryka Smirt, a następnie 400,000 fr. jako posag Amediny. (Należy przypomnieć że cały prawie majątek Henryka, powstał z posagów dwóch pierwszych żon jego.) Pod pozorem szlachetnej bezinteresowności, ponieważ majątek jego w dwójnasób prawie przewyższał posag żony, Henryk Smirt odezwał się iż pragnie aby zamieszczono w umowie ów sławny artykuł który już dwa razy powiódł mu się tak świetnie, a który w pięknym stylu notaryalnym brzmi: „jako wzajemna darowizna, mocą której małżonkowie zapisują sobie cały majątek na przeżycie.”

Pan d'Armangis nie sprzeciwiał się temu, ale serce mu się ścisnęło; przeczuł w tem interes i wyrachowanie, nie dające się pogodzić z poezyą miłości. Niestety! gdzież podziały się owe opiewane przez mitologię urocze strzały miłości! Ma ona jeszcze w prawdzie swój kołczan, ale ten mało strzał zawiera, zamienił się w puszkę do piór posługującym do spisywania darowizn, a gdy chodzi o małżeństwa, sum posagu i widoków.

Biedna Amedina kochała szczerze, serdecznie, z całą świeżością młodzieńczego uczucia; daremnie ojciec chciał ją przekonać że kocha stokroć więcej niż jest kochaną, unosiła się i oburzała, płacząc jak dziecko że zapoznawano jej ukochanego. Weszło w przysłowie mówić o uporze Bretończyków, ale jakże on maleje w obec uporu zakochanych!

Nadszedł nareszcie dzień ślubu. Amedina przywdziała ubiór ślubny; przypięto jej welon i wieniec z kwiatów pomarańczowych; tak ubrana biało, owiana obłokiem koronkowej zasłony, wydawała się jakąś poetyczną, idealną istotą. Była silnie wzruszoną i rozpromienioną: jednak mimo upojenia szczęściem, łzy stanęły w jej oczach gdy po raz ostatni powiodła wzrokiem po dziewiczym swoim pokoju, który opuszcza na zawsze; ale spojrzenie na biały jej wieniec osuszyło łzy podmuchem radości.

Ojciec siedzący w rogu pokoju wpatrywał się w nią w milczeniu.

— Tak smutny jesteś, ojcze drogi, zawołała.

— O! bo gody weselne nie wesołe dla rodziców, odrzekł z gorzkim uśmiechem. Przyznaję to, dziecię moje, że jakkolwiek zawierasz małżeństwo, o ile się zdaje, najzupełniej odpowiednie, jednak mimo to nie mogę odegnać jakiegoś przykrego, bolesnego wrażenia! Dziś rano, przebudziwszy się myślałem o matce twojej; zdało mi się że słyszę jej głos ukochany, mówiący mi: „Jerzy mój, poświęcasz naszą córkę — nie zapomnij że umierając powierzyłam ją twojej opiece.”

— Oj! prawda, prawda, zawołała Marynka, która wchodząc do pokoju usłyszała ostatnie słowa. Byłam przy tem gdy ukochana pani głosem roz-

dzierającym serce, powierzała panu swój skarb najdroższy. Bo to, widzi pan, gdy myślałeś o tem rano, to wtedy właśnie dusza zmarłej pani przyszła oznajmić panu że nie zgadza się na to małżeństwo; dusze zawsze przychodzą tak po cichu, nie słychać ich, nie widać, ale mimo to umieją przemówić do serca, głosem zrozumiałym dla niego.

Pan d'Armangis ocierał łzy które płynęły z jego oczu, a Marynka zwróciła się do Amediny, składając ręcę.

— Panienko, błagam cię! dopokąd czas jeszcze, nie idź za tego pana Smirt'a — on ciebie nie godzien!

— Szalona jesteś! zawołała unosząc się Amedina. Miałabym zrywać bez powodu w dzień ślubu, kiedy już wszyscy goście się zjechali.

W tej chwili weszła nowa panna służąca Amediny, mówiąc:

— Pan Henryk Smirt przybył.

— Ach! wykrzyknęła Amedina wzruszona.

Panna chciała poprawić nie zupełnie wdzięcznie drapujący się welon, Marynka odsunęła ją szorstko mówiąc:

— Idź sobie! ja sama poprawię.

— Ależ jako kucharka wcale się na tem nie znasz, odparła.

— Ta! ta! ta! a któż to ją ubierał od małości!

Panna służąca miała już czas oswoić się z wybrykami Marynki, wyszła więc śmieją się.

Korzystając z tego Marynka znów zaczęła wołać, załamując ręce.

— Panienko moja, błagam cię, zaklinam, nie za ślubiaj tego pana Smirt! I cóż to znaczy że jesteś jego narzeczoną! zaręczyny to przecie nie ślub... Cała rzecz że ci przysłał podarunki ślubne, zwróć mu je jak się zwraca zadatek nie obejmując zamierzonego obowiązku.

— Czy słyszysz, kochany ojcze, co ona bredzi? powiedz jej proszę że chyba rozum straciła.

— Kto wie, dziecię moje, czy nie lepiej byłoby posłuchać przeczucia Marynki... I ja także zostaję pod wpływem strasznego wrażenia, od którego wyzwolić się nie mogę... Gdy chodzi o szczęście całego życia, żadne względy ludzkie powstrzymywać nas nie powinny, i jeszcze nawet na merostwie, w obec choćby najliczniejszych świadków i przyjaciół, można powiedzieć: nie... Ty, kochane dziecię, masz już tylko kilka minut do namysłu — rozważ dobrze...

— Rozważyłam już dawno, kochany ojcze; chodźmy! dodała ściskając go.

I raz ostatni spojrzawszy w zwierciadło, zwróciła się ku drzwiom salonu, w którym czekała już rodzina i przyjaciele. Gdy tam weszła, przyjęto ją okrzykiem.

— Ach! jaka śliczna! jaka urocza panna młoda! Henryk Smirt, piękny jan Apollo, śpiesznie zbliżył się do niej; gdy go spostrzegła, radość opromieniła śliczną jej twarzyczkę—spojrzeniem, uśmiechem i sercem powitała swego oblubieńca. W kwadrans potem, wsiadła z ojcem do karety zaprzężonej w tradycyonalne białe konie, i pojechali do merostwa.

V.

Grom uderza.

Od kilku już miesięcy Amedina była żoną Henryka Smirt. Tak była szczęśliwa, tak urzeczywistniły się najdroższe jej marzenia, iż zdawało się że posiadała klucz do ziemskiego raju. „Ewa go straciła, mówiła sobie, ale ja go odnalazłam." Jakże dumną była idąc pod rękę z mężem! z jaką rozkoszą wpatrywała się w niego!

„A! jaki ten mój mąż piękny!" powtarzała sobie. Henryk Smirt, jako człowiek dobrze wychowany i znający świat, był dla żony nadzwyczaj uprzejmy, otaczał względami i troskliwemi staraniami — ona brała je za miłość.

Widząc córkę tak szczęśliwą i rozpromienioną, pan d'Armangis nietylko zapomniał uprzedzeń jakie żywił do zięcia, ale wyrzucał je sobie. I Marynka udobruchała się jakoś i mówiła patrząc na młode małżeństwo: „Choć nie mam nabożeństwa do tego pięknego pana, zdaje się jednak że dobry to i porządny człowiek, a skoro moja młodziutka pani jest zadowolniona i szczęśliwa, pokazuje się iż dobrze zrobiła nie chcąc z nim zerwać."

Henryk Smirt wyprowadził się z owego lokalu który margrabina oglądała z żywem wrażeniem zarazem ciekawości i obawy, a następnie najęła wraz z mężem. Wynajął inny lokal równie elegancki i okazały, blizko mieszkania ojca; łatwo mu to przyszło, gdyż mając tak znaczny majątek mógł zapłacić drogo — a czegoż w Paryżu nie dostanie za pieniądze!

Pan d'Armangis widywał się z córką po pare razy na dzień; a więc zdawało się że owo zamęzcie którego tak się obawiał, łączyło w sobie wszelkie warunki szczęścia.

Raz jeden tylko błękit szczęścia Amediny zasępił się nieco — przez chwilę przykrego doznała wrażenia.

Wyprowadzając się przed ślubem z dawnego mieszkania, Henryk Smirt zawiesił jak zwykle portrety pierwszych żon w swoim gabinecie. Nie przyszło mu na myśl że może będzie to nie bardzo przyjemne dla trzeciej. Otóż zaraz w pierwszych dniach po ślubie, Amedina zwróciła uwagę na obecność w gabinecie męża tych dwóch prawowitych rywalek, wyglądających ze swych ram złoconych. Jedna w swej czarnej, druga w białej sukni, wydawały jej się jakby dwa duchy wpatrujące się w nią bacznie i powtarzające nieustannie:

„Nie zapominaj że przychodzisz trzecia z kolei, i że, przed tobą, my byłyśmy tu paniami domu!"

Zanadto ubóstwiała męża, aby nawet o zmarłe nie być zazdrosną. Nieprzeparta jakaś siła pociągała ją ku owym portretom; wpatrywała się w nie z kolei, i serce jej ściskało się boleśnie, łzy zazdrości płynęły z oczu. Pewnego razu zeszedł ją tak Henryk. Wyrzucał sobie srodze swoje roztargnienie; kazał natychmiast przenieść obrazy do którego z najdalszych pokoi, niby jak do owego słynnego gabinetu Sinobrodego — a na pocieszenie Amediny, polecił słynnemu artyście zrobienie jej portretu, jako trzeciej żony.

Portrety mężatek podlegają takiemu losowi co i portrety królów. W ciągu małżeństwa portret żony pierwsze miejsce zajmuje w salonie; podczas panowania portret króla króluje wszechwładnie w jego pałacu i w salonach władz rządowych, lecz gdy żona umiera, gdy król schodzi ze świata lub pozbawiony zostaje tronu, gdy wdowiec i Państwo zawrą powtórne śluby, portret pierwszej żony często aż na strych się dostaje, portret króla ustępuje miejsca następcy, a nie raz nawet zdarza się iż ulega zagładzie — zależy to od usposobienia narodu... I myśli zwracają się ku nowo przybyłym, i w sercu wdowca zarówno jak w Mennicy, inny odbija się obraz, tak na złotych marzeniach jak i na sztukach monety.

Gdy już Amedina nie miała przed oczami portretów, smutne wrażenie zatarło się zupełnie, uśmiech wrócił na usta i opromienił twarzyczkę, i odtąd żadna już chmurka nie zasępiła jej szczęścia.

Z nadejściem pory wyjazdu do wód lub kąpieli morskich, młodzi małżonkowie postanowili opuścić Paryż i odbyć malowniczą podróż do Biarritz. Upłynął miesiąc od ich wyjazdu, pan d'Armangis osamotniony tęsknił za córką. Pani de Villeneuve przyjaciółka tej rodziny, i która skojarzyła małżeństwo Amediny z Henrykiem, zapragnęła rozweselić biednego samotnika i dlatego ofiarowała mu miejsce w swej loży na pierwsze przedstawienie nowej sztuki.

Wszedłszy do loży zastał ją w niej jeszcze samą.

— Czy wiesz pan, rzekła śmiejąc, że możesz mnie skompromitować? mogą to wziąść za umówione sam na sam... No, ale bądź pan spokojny, niezadługo przybędzie nam towarzyszka. Dwa pozostałe miejsca ofiarowałam państwu de Forgy. Margrabia de Forgy jest to sobie stworzenie bierne, nie wiele mówi, przesiaduje w klubie ale się dobrze przedstawia; słowem wyborny na męża swej żony. Pani jest żywa, dużo mówiąca, niedawno poznałam ją gdzieś w towarzystwie, i zaprosiłam ją dlatego głównie aby nas zabawiała podczas między-aktów. Zna wszystkich, wie wszystko i rozpowiada jak reporter, tylko zamiast spisywać rozmaite wiadomości, wypowiada swój fejleton. Zdaje mi się że nie musi być bardzo dobra, ale to już sprawa jej sumienia i nic mnie nie obchodzi. Dość mi na tem że mnie bawi. Przybędzie sama, mąż pójdzie do klubu jak zawsze, i z wielką radością powierzył żonę mojej opiece.

Otworzyły się drzwi loży i jednocześnie dał się słyszeć szelest jedwabiu, zapowiadający kobietę jak szelest skrzydeł zapowiada ptaka. Weszła margrabina, swobodna, uśmiechnięta, oczy jej błyszczały, twarz tchnęła wesołością i życiem, toaleta była świetna i gustowna, istna róża w pełni rozwoju ale i z kolcami.

Po powitaniach, podziękowaniach, grzecznościach i przedstawieniu jej pana d'Armangis, który ustąpił jej miejsce obok pani de Villeneuve siadając w drugim rzędzie, margrabina usiadła, położyła przed sobą wachlarz, dopasowała lornetkę i zaostrzyła języczek.

— Nie śmiem pochlebiać sobie że przypomina mnie pani sobie, miałem już jednak szczęście widzieć panią i rozmawiać, a nawet kupić od niej parę rękawiczek, rzekł pan d'Armangis.

— Ode mnie!.. zawołała zdumiona, lecz jednocześnie niemal głośnym wybuchnęła śmiechem, ukazując drobne białe ząbki, poczem dodała: Ach! przypominam sobie, było to podczas bazaru na dobroczynność — i pamiętam nawet że okazałeś się pan wspaniałomyślnie hojnym — nie tak jak ta pani która tylko co zajęła miejsce na balkonie. Szkaradnie skąpa!.. przez ciekawość tylko przyszła na bazar, bo nic nie kupiła. Daremnie przedające panie przekładały że to dla biednych i że kupując zapewni sobie miejsce w niebie, odpowiadała wszystkiem bez wyjątku że porobiła już znaczne zakupy w innych sklepach. Uznaje ona że w bazarach na dobroczynność zbyt drogo trzeba płacić za nagrodę w niebie, i woli ją kupić za grosz rzucony żebrakowi.

— Nie zły początek, pomyślał sobie pan d'Armangis.

(*D. c. n.*)

Opis do N-ru 15.

(Dokończenie.)

N. 49. Spódnica z turniurą. Krój na arkuszu N. XI, fig. 33.

Na brycie tylnym oznaczonym literą *c* na fig. 33, podszyte są listewki w odstępach oznaczonych cent. i linijami kropkowanemi, służące do wsunięcia stalek; przy spódnicy więc jaką daje ryc. 49 oddzielna turniura jest zbyteczna. Przy końcu listewek dodane są tasiemki, wiążące się pod tylnym brytem ściślej lub luźniej odpowiednio jaką chcemy mieć turniurę. Dolny garnirunek spódnicy 31 cent. szeroki, składa się na tylnym brycie z 5 zachodzących na siebie falbanek plisowanych, po 6 cent. szerokich, oszytych 4 cent. szeroką koronką. U góry dany pasek haftu ściegiem cierniowym 4 c. szeroki. Przód spódnicy oszyty u dołu plisowaniem z koronką, na które spada wolant haftowany 15 cent. szeroki i tejże szerokości szlak wycięty u dołu w zęby.

N. 50. Spódniczka flanelowa. Krój na arkuszu N. X, fig. 32.

Na małym formacie fig. 32 dajemy wymiar połowy spódnicy, złożonej z czterech brytów i wszytej w pasek 5 cent. szeroki, nawleczony w górze tasiemką. Przybranie dolne stanowi falbana 15 cent. szeroka, ułożona w kontrafałdy, wycięta w zęby, objęte taśmą. Wyszycie dane kolorowym jedwabiem.

N. 51. Majtki nawleczone w górze tasiemką.

Przedni brzeg majtek jest zmarszczony i wszyty w podwójny pasek, tylny zaś podszywa się listewką i ściąga na tasiemką. U dołu każda połowa majtek zmarszczona jest do 40 cent. obwodu i wszyta w podwójny pasek, 4 cent. szeroki, złożony z wierzchu z wstawki i zakładki, w który wszywa się także falbana 7 cent. szeroka (58 obwodu) zastębnowana w trzy zakładki i odziergana w ząbki.

N. 52. Majtki z boku zapinane. Krój na arkuszu N. III, fig. 10—11.

Rozporek zostawiony z każdego boku od T do Z podszywa się z brzegów listewką 3 cent. szeroką do dziurek i guzików; u dołu brzegi rozporka zachodzą na siebie i są ściśle zastębnowane. Przedni brzeg majtek wszyty w okrągły pasek fig. 11, tylny zaś w prosty pasek 4 c. szeroki, nawleczony tasiemką przeciągniętą na wierzch. Garnirunek dolny stanowi koronka niciana 6 c. szeroka, lekko namarszczona, naszyta dwa razy, powyżej dana wszywka 5 c. szeroka, przystębnowana pliseczką i podwleczona kolorową wstążką związaną z boku w kokardę

N. 53. Negliż formą princesse. Krój na arkuszu N. XIX, fig. 73—74.

Dolny brzeg wycięty w zęby 15 cent. głębokie, 12 szerokie, podszyte atłasową wypustką i zachodzące na plisowanie atłasowe, 20 cent. szerokie, dane u dołu. Zapięcie przodow przysłania wachlarzowo fałdowany garnirunek z koronki; przyozdobienie stanowią rozety naszyte z grubego okrągłego sutaszu podług fig. 74.

N. 54. Negliż z długiem vêtement.

Może być odrobiony z flanelki, materyału wełnianego, lub na lato z jedwabnej materyi i składa się ze spódnicy z małym trenem i bardzo długiego paletotowego vêtement, związanego w pasie grubym sznurem jedwabnym. Kołnierz, mankiety, ranwersy odwinięte u dołu otwartych przodów i plisy na spódnicy mogą być z aksamitu lub atłasu.

N. 57—58. Haft na poduszkę do kanapy. Aplikacya, patrz deseń fig. 77.

Tło stanowi ciemno ponsowy aksamit, na aplikacyę użyte żółtawe płótno średniej grubości. Ryc. 58 wskazuje sposób przyszycia aplikacyi do tła; widzimy na niej że kontury otoczone są cieniutkim złotym sznureczkiem; przydzierganym żółtawym jedwabiem. Większe figury w deseniu są wyszyte sznureczkiem i jedwabiem, w różny sposób podług fig. 77.

N. 59. Kołnierz i mankiety do negliżowego ubrania.

Gruba medaljonowa tasiemeczka, obrobiona z brzegów szydełkiem, stanowi wszywkę środkową, otoczoną w około szydełkową koronką; formę kołnierza dopełnionego jakby żabotem wskazuje ryc. 59; wzory wszywek i koronek szydełkowych znajdują się prawie w każdym N-rze „Tygodnika Mód“.

N. 60. Kołnierz z żabotem chusteczkowym.

Kołnierzyk zapinany z boku, układa się z indyjskiego muślinu na podstawie ze sztywnego tiulu, 3 cent. szerokiej oszytej 4 cent. szeroką koronką, nad którą dana suta riusza muślinowa. Żabot uplisowany jest z dwóch kawałków muślinu, 66 cent. długich, a 30 szerokich, które dochodzą do wcięcia stanu i tworzą u dołu pukiel i koniec przepięte klamrą. Brzegi boczne ogarnirowane koronką 8 cent. szeroką. Pod szyją na zapięciu kokarda z kolorowej aksamitki.



N. 1—3. Ubrania spacerowe.

N. 1. Płaszczyk z pelerynką. dla dziewczynki lat 6—8. N. 2. Paletocik dla panienki lat 8—10. N. 3. Ubranie spacerowe z obcisłym paletocikiem. Patrz ryc. 8 w N. 17.

Opis do N-ru 16.

N. 1—3. Ubrania wiosenne spacerowe dla dam i dzieci.

N. 1. Ubranie z płaszczykiem z pelerynką, dla dziewczynki lat 6—8.

Orzechowy, wigoniowy płaszczyk przykrojony był podług luźno wcinanej formy paletocika, do której 12 cent. poniżej wcięcia w pasie, dodaje się do boczków i pleców potrzebną ilość materyału na głębokie pod spód założone fałdy. Pelerynka mająca z przodu 33 a z tyłu 46 cent. długości, jest przy szwie tylnym podpięta w trzy fałdy. Wykrój szyi wszyty w kołnierz wykładany. Ozdobę płaszczyka stanowią guziki stalowe i wyszycie z sutaszu odstająco naszytego.

N. 2. Ubranie z paletocikiem, dla dziewczynki lat 8-10.

Paletocik z flanelki bronzowo popielatej w paski, miał tylko przy środkowym szwie pleców, poniżej wcięcia w pasie, dodany materyał na kontrafałdę założoną do spodu. W kapturek spiczasty, mający 26 cent. środkowej długości dana była przemarszczona, ponsowa atłasowa podszewka. Obłożenie zwierzchnie oddzielnie przykrojone mające 10 cent. środkowej szerokości, zwężone stopniowo do przodu do 3 cent. naszyte jest parę razy sutaszem i ozdobione ciemno ponsowemi sznelowemi pomponami.

N. 3 i ryc. 8 w N-rze 17. Ubranie spacerowe z paletocikiem. Krój paletocika podług ryc. 20 w N. 5 „Tygodnika Mód“.

Na ryc. 8 w N-rze 17. przedstawiającej paletocik z tyłu widzimy dokładnie w jaki sposób dodane przy pleckach kontrafałdy, podwinięte są u dołu do 13 cent. głęboko na wewnątrz i ozdobione koronką przymarszczoną, puklami i końcami wstążki. Żabot marszczony przykrywający zapięcie przodów na haftki, urządza się w sposób wskazany na ryc. 3, z kawałka materyału, mającego 18 cent szerokości a 35 długości Model paletocika odrobiony był z ciężkiego, czarnego vellours ottoman, z drobno stębnowaną atłasową podszewką. Garnirunek stanowią trzy, jeden na drugi zachodzące rzędy frendzli sznelowej 4 cent. szerokiej, koronka hiszpańska 7 cent. i wstążka w atłasie 5 cent. szeroka.

N. 4. Czepeczek negliżowy.

Fason czepeczka stanowi pasek podwójny tiulowy 3 c. szeroki a 55 c. długi, w któren wszyte jest denko owalne tiulowe, mające 27 c. środkowej długości a 23 szerokości. Przy krajaniu zwierzchniego denka z ciemno ponsowej surah, trzeba dodać materyału na przemarszczoną, 5 cent. szeroką bufkę brzeżną. Garnirunek na czołku i ubranie na czepeczku, dane jest z koronki marszczonej, 7 cent. szerokiej.

N. 5. Kołnierzyk chusteczkowy.

Trzy cent. szeroki pasek koło szyi, zrobiony ze sztywnego tiulu, a pokryty kolorową repsową wstążką, ogarnirowony jest fałdowaną, 10 c. szeroką koronką, przyszytą raz do dolnego brzegu, drugi raz od spodu na pasku na wierzch wywiniętą. Wachlarzowy żabot składa się z dwóch rzędów drobno plisowanej koronki, jedna na drugą zachodzącej, przyszytej do kawałka tiulu 4 cent. długiego. Kokarda z niebieskiej atłasowej wstążki, ottoman, przepięta klamrą metalową, łączy żabot z kołnierzykiem.



N. 6. Suknia z tuniką odmiennie z boków podpiętą. Patrz ryc. 14, 40 i 44.



N. 4. Czepeczek negliżowy.



N. 5. Kołnierzyk z żabotem.



N. 7. Płaszczyk długi wiosenny. Patrz r. 42 tudzież r. 9 w N-rze 17.

N. 8. Narożnik do płaskiego haftu na serwetę ryc. 4 w N-rze 14.

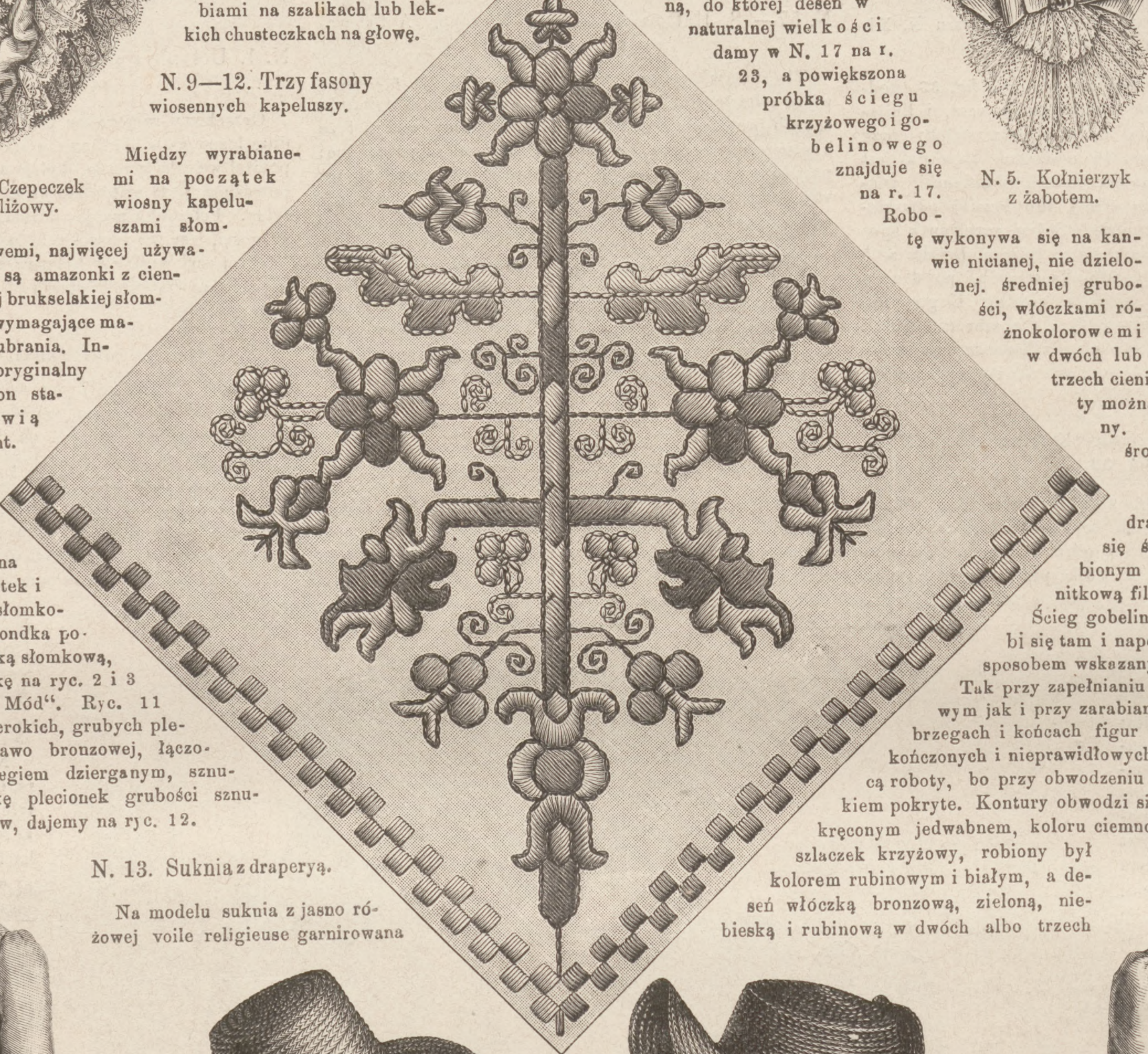
Deseń ten służyć może do haftu białą lub kolorową bawełną w rogach serwety ryc. 4 w N-rze 14, albo też do haftu kolorowemi jedwabiami na szalikach lub lekkich chusteczkach na głowę.

N. 9—12. Trzy fasony wiosennych kapeluszy.

Między wyrabianemi na początek wiosny kapeluszami słomkowemi, najwięcej używane są amazonki z cienkiej brukselskiej słomki wymagające mało ubrania. Inny oryginalny fason stanowią kapotki z rondem 7 cent. szerokiem, wysoko w środku w górę podniesionem, do których karczek dodaje się oddzielnie, jak to widzimy na ryc. 10. Do takich kapotek i do wszelkich okrągłych, słomkowych, kapeluszy, brzeg rondka powinien być oszyty torsadką słomkową, do której dajemy próbkę na ryc. 2 i 3 w N. 17 „Tygodnika Mód". Ryc. 11 przedstawia kapotkę z szerokich, grubych plecionek ze słomki czerwonawo bronzowej, łączonych ze sobą rzadkim ściegiem dzierganym, sznureczkiem złotym. Próbkę plecionek grubości sznureczka i szerokości ściegów, dajemy na ryc. 12.

N. 16—17 i ryc. 23 w N. 17. Koszyczek do kluczy, ozdobiony robotą krzyżową.

Mocny, kwadratowy koszyczek upleciony z łoziny, ozdobiony był lambrekiną, do której deseń w naturalnej wielkości damy w N. 17 na r. 23, a powiększona próbka ściegu krzyżowego i gobelinowego znajduje się na r. 17. Robotę wykonywa się na kanwie nicianej, nie dzielonej. średniej grubości, włóczkami różnokolorowemi w dwóch lub trzech cieniach; dla ułatwienia roboty można dobrać deseń kolorowany. Najpierw zapełnia się środki figur ściegiem krzyżowym, robionym na czterech nitkach w kwadrat, następnie tło zapełnia się ściegiem gobelinowym robionym grubą pelą albo czteronitkową filozelą białą lub żółtawą. Ścieg gobelinowy zajmujący 4 nitki robi się tam i napowrót rzędami skośnemi, sposobem wskazanym na próbce ryc. 17. Tak przy zapełnianiu figur ściegiem krzyżowym jak i przy zarabianiu tła, niepodobna przy brzegach i końcach figur uniknąć ściegów niewykończonych i nieprawidłowych, lecz takowe nie szpecą roboty, bo przy obwodzeniu konturów, są prawie całkiem pokryte. Kontury obwodzi się na końcu, sznureczkiem kręconym jedwabnem, koloru ciemno złotego. Górny prosty szlaczek krzyżowy, robiony był kolorem rubinowym i białym, a deseń włóczką bronzową, zieloną, niebieską i rubinową w dwóch albo trzech cieniach. Pod lambrekinę daje się podszewkę kretonową, a koszyczek w środku pokrywa się atłasem i zdobi pomponami.



N. 8. Narożnik. Haft płaski.

N. 13. Suknia z draperyą.

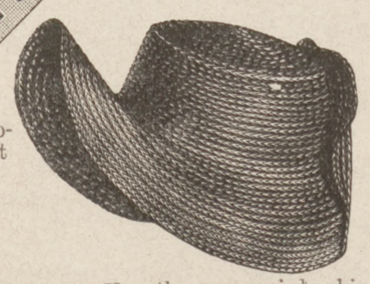
Na modelu suknia z jasno różowej voile religieuse garnirowana była w sposób na ryc. 13 wskazany, koronką żółtawą 10 cent. szeroką. Stanik z tyłu sznurowany, zakończony jest u dołu puklami 5—6 cent. długiemi między któremi bardzo ładnie odbija garnirunek z koronki; takiż garnirunek dany jest z przodu przy draperyi tunikowej. Bufiaste upięcie z tyłu układa się z brytów prostych, przyszytych u dołu szwem odwracanym do spódnicy. Dół spódnicy pokrywa szeroki, koronką oszyty, wolant plisowany, z pod którego wygląda wązkie, drobne plisowanie.



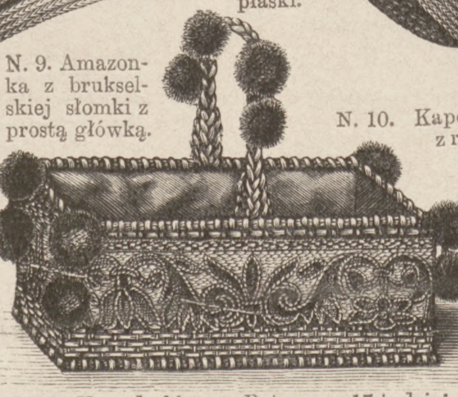
N. 13. Suknia z tuniką.



N. 9. Amazonka z brukselskiej słomki z prostą główką.



N. 10. Kapotka z czarnej słomki z rondem wysoko odstającem od czoła.



N. 16. Kosz do kluczy. Patrz ryc. 17 tudzież r. 23 w N-rze 17.



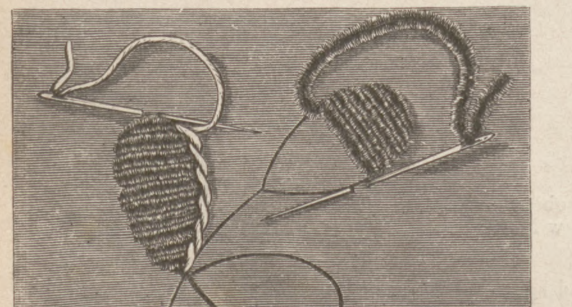
N. 11. Kapotka z szerokiej słomki łączonej sznureczkiem złotym. Patrz ryc. 12.

N. 18, 28—29. Kapa na łóżko robotą „Marsylską".

Ten rodzaj roboty upowszechniony był w dawnych wiekach we Francyi i Hiszpanii, a dziś wraca do mody pod nazwą roboty „marsylskiej, która chociaż dość zmudna jest jednak łatwa i efektowna. Na tło dobiera się materyę lekką i miękką jedwabną, batyst albo nawet cieniutkie płótno. Model kapy miał wierzch i podszewkę z lekkiej jasno niebieskiej materyi. Na ryc. 28 dajemy w naturalnej wielkości cząstkę deseniu i próbkę roboty, przyczem materyał zwierzchni tylko część podszewki przykrywa, ażeby dać możność dokładnego



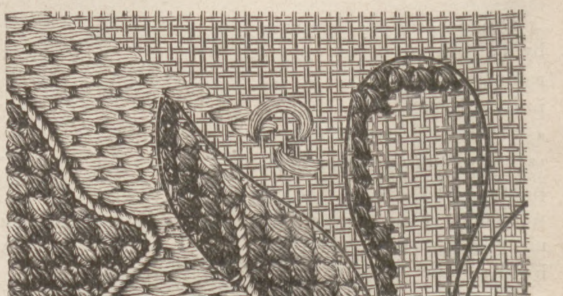
N. 14. Suknia z tuniką odmiennie z boków podpiętą. Patrz r. 6, 40 i 44.



N. 15. Wykonanie haftu szenelą do r. 29 i 30 w N. 17.

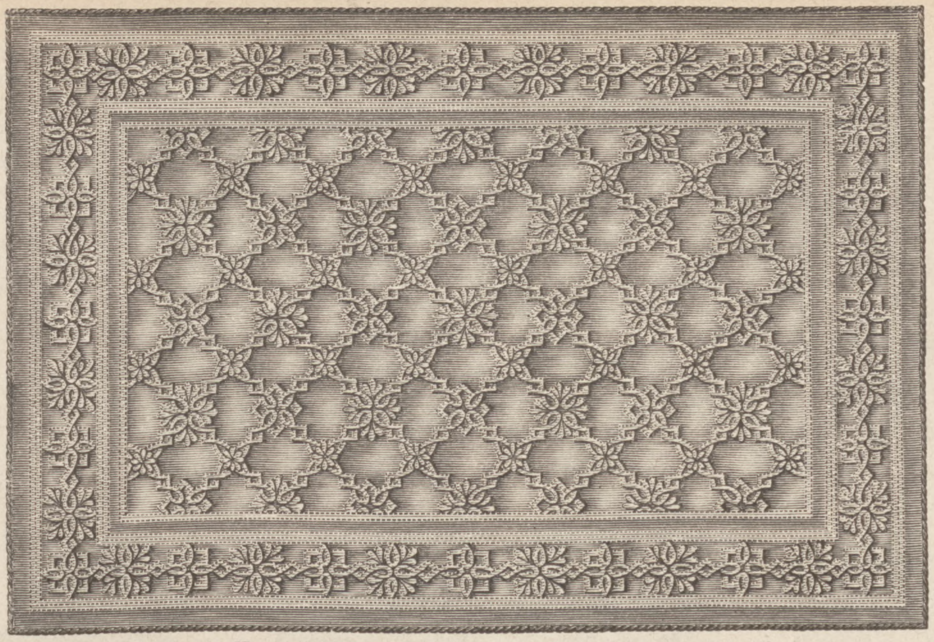


N. 12. Szeroka słomka łączona sznureczkiem złotym, do ryc. 11.



N. 17. Wyszycie na lambrekinie do r. 16.

poznania roboty. Tak szlaki jak i deseń środkowy na ryc. 18, składają się z połączonych figur, podanych pojedyńczo na ryc. 28 i 29. Najpierw kontury deseniu



N. 18. Kapa na łóżko. Robota marsylska. Patrz ryc. 28—29.



N. 19. Fartuszek z pasowanej materyi naśladującej haft. Patrz ryc. 41.

rysuje się na podszewce, którą następnie wszywa się i równo rozciąga w krośnach; potem w środek deseniu daje się dość gruby podkład z równo ułożonej i przez wierzch rzadko przeszytej, miękkiej białej bawełny. Do tak przyrządzonej podszewki przyfastrygowywa się gładko ułożony wierzch i zaczyna się stębnowanie które koniecznie ręcznie a nie w maszynie musi być robione. Przez lekką materyę deseń i podkład bawełniany, dostatecznie przebija i dozwala równo ostębnować kontury, nie zajmując nitek podkładu. Głównie zważać potrzeba, ażeby przy stębnowaniu nie gurbić ani wszywać zwierzchniego materyału. Po skończeniu roboty nitki przeszywające podkład przecina się w podszewce i wyciąga, a brzegi kapy oszywa się sznurem jedwabnym.

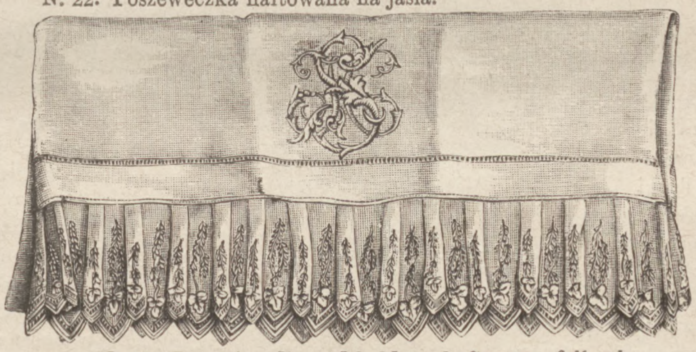


N. 21. Poszewka z kolorowym haftem.

N. 22. Poszeweczka haftowana na jasia.



N. 26. Spódnica z draperyą. Patrz lewy bok na ryc. 27.



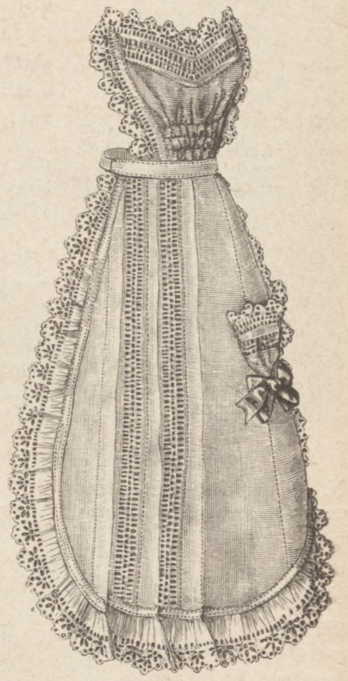
N. 23. Prześcieradło pod kołdrę z haftowaną falbanką.



N. 27. Spódnica z draperyą. Patrz stronę prawą na ryc. 26.

N. 19 i 41. Fartuszek z dopasowanemi fabrycznie szlakami i frendzlą.

Ryc. 19 przedstawia fartuszek z mocnego i mięsistego materyału tkanego razem z kolorowemi szlakami naśladującemi haft i z dodaną w koło frendzlą 8 cent. szeroką. Ryc. 41 wskazuje sposób uszycia fartuszka. Przez skośne ścięcie kropkami oznaczonych górnych rogów, otrzymuje się napierśnik, a przez zaszycie z każdej strony zaszewek 26 i 54 cent. długich nadaje się potrzebne wcięcie i zwęża się w pasie fartuszek, do 31 cent. frendzlę górną wywija się na wierzch, a do wiązania daje się wełniane sznury z kwastami, w kolorach szlaku.



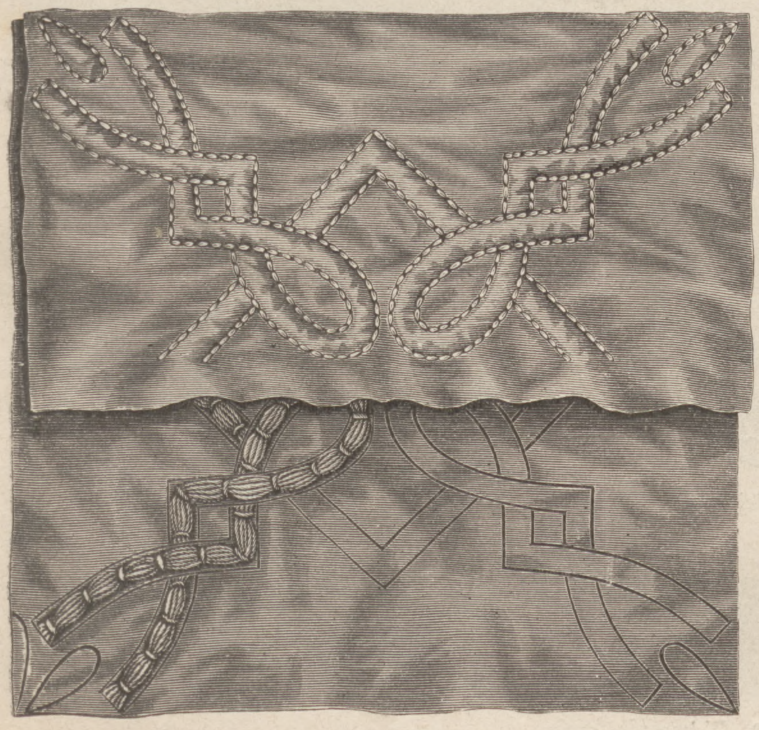
N. 20. Fartuszek przybrany z jednego boku.

N. 20. Fartuszek z garnirunkiem dodanym tylko z jednego boku.

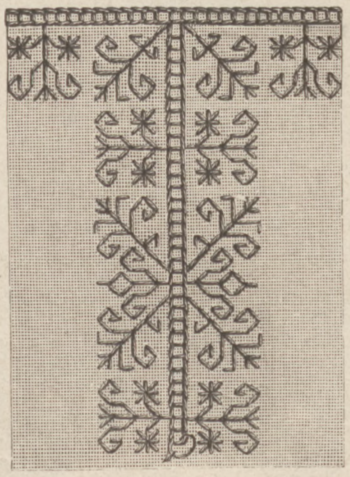
Biały batystowy zaokrąglony u dołu fartuszek, miał wraz z 5 c. szeroką haftowaną falbanką, 67 cent. długości, w pasie 30, a u dołu 60 cent. szerokości. Z jednej strony dodaje się klin skośnie ścięty i przyszywa się kieszonkę trzymającą 14 cent. w kwadrat, w górze ozdobioną wstawką i haftem, u dołu zmarszczoną do 4 cent. i zakończoną kolorową kokardą. Z drugiej strony daje się trzy fałdy 2 cent. szerokie, przedzielony dwoma 3 c. szerokiemi wstawkami, w górze zaszyte a na 12 c. od dołu luźno puszczone. Napierśnik robi się z kawałka batystu w górze kolisto wyciętego, mającego 20 c. górnej szerokości, 8 środkowej a 12 brzeżnej długości, ozdobionego wstawką i falbanką haftowaną, u dołu trzy razy przemarszczonego do 3 cent. szerokości i złączonego z fartuszkiem paskiem 2 cent. szerokim. Do wiązania służą szarfy batystowe u dołu haftem zakończone.



N. 24. Pas do wiązania tuzina bielizny. Patrz ryc. 25.



N. 28. Wykonanie wyszycia marsylskiego. Patrz ryc. 29 i ryc. 18.



N. 25. Wyszycie do ryc. 24.

N. 24—25. Pas do wiązania bielizny, ozdobiony wyszyciem ponsowem.

Pas płócienny 5 cent. szeroki, zakończony wstążkami służy do wiązania tuzinów bielizny. Ryc. 25 daje próbkę ściegu i szlaczku,



N. 29. Deseń rozety do ryc. 18 i 28.

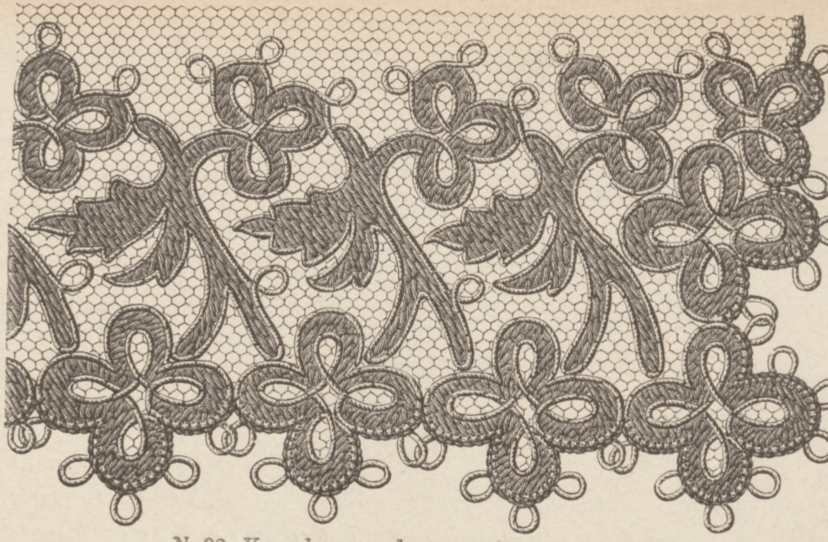


któren na pasie daje się w jedną stronę, a zestawiony od środka na dwie strony służyć może na szlak do bielizny.

N. 26—27. Spódnica z draperyą.

Głównie zwracamy uwagę na ładny materyał wełniany, w drobne paski szafirowe i żółtawe

N. 30. Sukienka z marszczonemi plecami, dla małej dziewczynki.



N. 32. Koronka wywodzona na tiulu. Patrz ryc. 33.



N. 31. Ubranie spacerowe dla dziewczynki. Patrz ryc. 4 w N. 17.

z dodanym wzdłuż jednego brzegu szlakiem 30 c. szerokim, wyrobionym w kratkę. Przód spódnicy złożony jest w trzy 45 c. szerokie potrójne kontrafałdy, a tył w fałdy plisowane pojedyńcze. Draperyę przednią układa się z bryta 70 cent. szerokiego a 240 długiego, z jednego poprzecznego brzegu przyfałdowanego i z boku na spódnicy przyszytego, dalej tylko w górze trochę przyfałdowanego i przez przód spódnicy przełożonego, a z drugiego boku w górę podniesionego w sposób wskazany na r. 27. Podłużny, szlakiem zakończony brzeg bryta spuszcza się luźno wzdłuż spódnicy; brzeg drugi poprzeczny jest przyfałdowany i szwem odwracanym na spódnicy przyszyty, w pozostałą część górnego podłużnego brzegu, trzeba przyfałdować i wszyć między szew boczny i tylny spódnicy. Tylną draperyę dopełnia bryt 36 cent. szeroki a 104 długi, któren upina się w dwa pukle widoczne na r. 27 w górze wszywa w pasek.

N. 34—35. Wachlarze spacerowe.

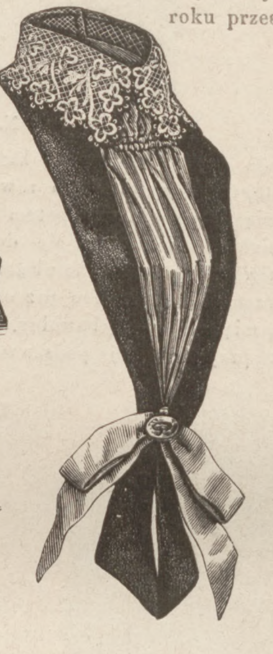
Wiosenne, spacerowe wachlarze nietylko nie będą mniejsze ale nawet jeszcze większe jak w roku przeszłym.



N. 36. Żabot kamizelkowy.



N. 34—35. Wachlarze spacerowe.



N. 37. Żabot kamizelkowy z ranwersami.

Ryc. 34 przedstawia wachlarz w oprawie z czarnego politurowanego drzewa inkrustowanego złotem z wierzchu pokryty gładkim atłasem czarnym, a do spodu lekką czarną materyą matową. Na ryc. 35 podajemy wachlarz w oprawie czarnej, gładkiej, pokryty kretonem, z tłem w połowie ciemno bordo a w połowie blado różowem, na którem namalowany kolorami pejzarzyk otoczony kwiatami.

N. 43 Suknia z draperyą z ranwersami.

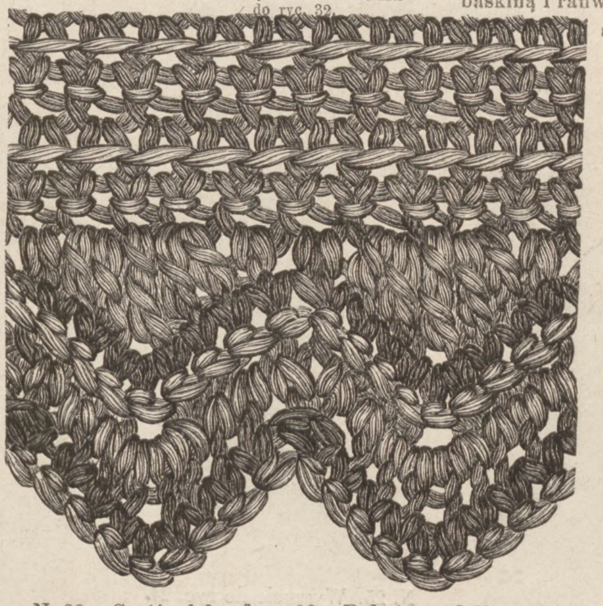
Draperyę przednią upina się z dwóch prostych, odpowiednio szerokich brytów, zachodzących w środku jeden na drugi, od dołu ranwersowo na wierzch wywiniętych, a z boku przyfałdowanych i podchodzących pod sute upięcie tylne. Przedni bryt spódnicy złożony jest w środku w jedną szeroką, a z boków w dwie wązkie kontrafałdy. Bryty boczne i bryt tylny oszyte są szerokiem plisowaniem. Model odrobiony był z materyału wełnianego w drobną kratkę szafirową i jasno niebieską; stanik z krótką baskiną i ranwersy naszyte były 4 c. szeroką aksamitką szafirową; kokardy z szerszej aksamitki. *(D. n).*



N. 38. Pelerynka włóczkowa. Patrz ryc. 39.



N. 33. Wywodzenie na tiulu do ryc. 32.



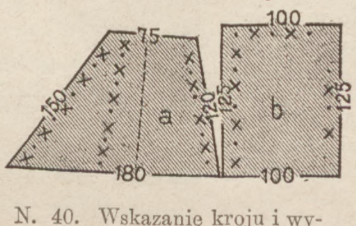
N. 39. Część szlaku do r. 38. Robota szydełkowa.



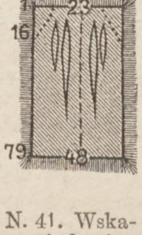
N. 43. Suknia z tuniką z ranwersami.



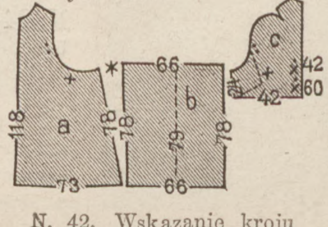
N. 44. Suknia z tuniką odmiennie z boków podpiętą. Patrz ryc. 6, 14 i 40.



N. 40. Wskazanie kroju i wymiar do r. 6, 14 i 44.



N. 41. Wskazanie kroju do r. 19.



N. 42. Wskazanie kroju i wymiar do r. 7.



Pl. 534.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.